Świat Kobiecy

N-R 22 15 LISTOPADA 1930 R. ROK X



CENA ZŁ. 2·25

ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA — N-R 22 — ROK X — WARSZAWA — LWÓW — 15 LISTOPADA 1930 ROKU

Z „KSIĘGI PRZYSŁÓW"

POKORNE CIELĘ

ŻYŁO sobie niegdyś, bardzo dawno, bo jeszcze przed Wielką Wojną cielę, bardzo głośne cielę, wprost: cielę znane w szerokich sferach towarzyskich. Zajęcie jego było nader miłe, może niezbyt urozmaicone, ale napewne higjeniczne, mianowicie — ssało dwie krowy.

Oczywiście domyślacie się, że mowa o pokornem cielęciu.

Lecz daremnym trudem byłoby poszukiwanie obórki, w której stało pokorne cielę, ssące aż dwie krowy.

Pokorne cielę nie zamieszkiwało cielętnika, było to bowiem cielę nadzwyczajne, cielątko, które nie schodziło z ust ludzi światłych i roztropnych, poprostu: cielę-wzór.

Portret pokornego cielęcia, które ssie dwie krowy, wisiał w każdym pokoiku dziecinnym, ponieważ w pokojach ludzi dorosłych stawiano konterfekt innego parzystokopytnika — złotego cielca. Zacne mamy, mądre bońcie i nad wiek rozwinięci wujciowie, dziadziowie, ze wzruszeniem w oku i w palcu wskazującym na portret cielaka, mawiali upominająco:

— Pokorne cielę dwie krowy ssie!

Wisia i Misia, Kazio i Józio marzyli, że drogą ssania dwóch krów i siedzenia na dwóch stołkach dojdą kiedyś do szczytu marzeń cielęcych: do złotego cielca.

W szkołach wymawiano imię pokornego cielęcia z dostojnem namaszczeniem, obok nazw innych budujących osobników.

Ile razy nauczyciel począł rzucać perły poezji helleńskiej przed... uczniów, tyle razy szczególnie wałkował tę scenę, w której Chryzes

„potem się przed ludźmi rzucił na kolana
(postać ojca, a w laury kapłańskie ubrana)
wlokąc się z upodleniem i żebrackim wstydem."

rad, że przynajmniej ktoś jeden w tym arcywzorze skomli pokornie.

Lecz najżywszym kultem otaczała pokorne cielę biurokracja. Każdy podradca, na sam dźwięk słowa „pan radca" wstawał w duchu, a w wyobraźni widział już te dwie krowy, które kiedyś ssać będzie.

Słowem — pokorne cielę to nie było cielę na niedzielę, ale na każdy dzień roku, cielę-wzór, cielę-ideał.

Minęły lata.

Należałoby przypuszczać, że cielę dojrzało, że wyrósł już z niego stary byk, tylko trwoga nas przejmuje, czy jeszcze żyje. Jesteśmy narodem rozmiłowanym w myśliwstwie, tyle się u nas byków strzela, może więc gdzieś, kiedyś owego byka palnięto z jakiegoś wysokiego stanowiska...

Może poprostu z cielęcia stał się wół? Toby zresztą odpowiadało spokojnemu temperamentowi przedwojennego cielaka, ale w takim razie, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, zapomniał wół jak cielęciem był.

Napewne zaś nie należy szukać naszego znajomego w tem cielęciu, które gapi się na malowane wrota, albowiem jest to cielę z gatunku nieśmiertelnych: gapi się i pełne cielęcego zachwytu patrzy na każde modne malowidło wrót, nie przeczuwając, iż za lat kilka dekoracja ta będzie przestarzałym knotem i paseistycznym kiczem.

Lecz dość przypuszczeń.

Mamy prawo domagać się niezawodnej, pewnej informacji!

Pokorne cielę zginęło na wojnie.

Ale gdzie, kiedy?

Bóg raczy wiedzieć! Może padło pospołu z tym tysiącem białych oficerów, którzy pozwolili rozstrzelać się kilkudziesięciu bolszewickim obdartusom?

Może pokorne cielę było własnością inteligenta, który dał zepchnąć się na szary koniec kaflarzom, „Eintänzerom", chiromantom i sierżantom?

Może zabił je d'Annunzio, który nie zniósł pokornie, aby nad Adrjatykiem powstał drugi Gdańsk, może zakłuł je Mustafa-Kemal, który uczynił, zgoła niepokornie, należyty, zupełnie europejski użytek z różnych traktatów o większościach i mniejszościach?

Dość — nie martwmy się, gdzie poległo pokorne cielę i czy wogóle kiedykolwiek istniały dwie krowy, które ono ssało rzekomo.

Niema cielaka i basta!

Jakżeby pokorne cielę uchowało się dziś, w obecnej dobie, w epoce reklamy i superautoreklamy, propagandy i przebojów? Czy zniosłoby zew czasu: tempo! tempo! Przecież pokorne cielę musi być bardzo cierpliwe, mieć niesłychanie spokojne nerwy, posiadać ogromną wytrzymałość i czekać, czekać, czekać bez końca, pókiż nareszcie, cudem jakimś, nie spadną z nieba dwie krowy, które można ssać. A gdzie tempo? Gdzie racjonalizacja? Gdzie silna ręka?

Zginęło pokorne cielę, które dwie krowy ssie.

Zato ulicami miast cwałuje młode, pyszne, hoże, bujne, radosne, rozrośnięte, uśmiechnięte cielę. Pędzi z zadartym ogonkiem, a duma aż rozpiera je, chlubi się i woła głośno:

— Jam jest zuchwałe cielę!

Goni, aż asfalt dudni.

Zuchwałe cielę, które ssie tyle krów — ile zechce.

MARJUSZ NOWINA

BUNT NOWYCH CZASÓW

Z POWODU KSIĄŻKI BEN. B. LINDSEYA „BUNT MŁODZIEŻY"

„Cierpi człowiek, bo służy sam sobie za kata:
Sam sobie robi koło i sam się w nie wplata."

Gdyby p. Lindsey, sędzia dla nieletnich i spraw rodzinnych w Denver w Stanach Zjednoczonych, znał Mickiewicza, nie mogłyby mu nie przyjść na myśl te jego słowa. Nic bowiem lepiej nie oświetla problemu, wypełniającego, a nawet przepełniającego najnowszą książkę odważnego Amerykanina.

Bo p. Lindsey okazał rzadką odwagę mądrości i szczerości. Odrzucił szablony myślowe, snobizm obyczajowy, strupieszały konserwatyzm — i sprawę kodeksu małżeńskiego oraz innych z nim związanych, przemyślał na świeżo, rzeczowo, głęboko i rzetelnie, nie zasłaniając sobie oczu żadną przepaską.

Wyszedł z założenia, że skoro we wszystkich innych dziedzinach życia ludzkiego postęp jest nietylko dopuszczalny, ale nawet nieodzowny, niepodobna zrozumieć, dlaczego w zakresie obyczajowości miałaby niewzruszenie dzierżyć berło tradycja. Dlaczego instytucja małżeństwa i sprawy z nią związane, miałyby stanowić rezerwat, obwałowany hipokryzją, pruderją i — głupotą. Dlaczego nie wolnoby tam było wybić otworu i wpuścić prądu świeżego powietrza, skoro mimo ścisłej klauzury dobywają się stamtąd stęchłe wyziewy.

Rewizjonizm jest postulatem naszych czasów i zawsze był zjawiskiem zdrowem. „Moralność" — żaden wyraz nie był nadużywany ohydniej! — nie może się wyłamać z pod ogólnego prawa ewolucji. Kodeks małżeński odpowiadał może warunkom życia w czasach, w których powstał — dziś jest niezaprzeczonym przeżytkiem, o którego wartości wymownie świadczą nietylko rozwody, dochodzące do 50% zawieranych związków małżeńskich (statystyka jest z Denver, stolicy stanu Colorado), ale całe morze wykrętów, szalbierstw, wielokrotnych zmian wyznania, morderstw, samobójstw, albo głuchej, z zatraconym heroizmem znoszonej niedoli.

W Chinach uważa się za grzech nieścinanie drzew, rosnących wśród pól uprawnych. Kto ma Boga w sercu, przykłada siekierę do pnia. Efektem jest notoryczna susza, a w konsekwencji głód i epidemje. I na to niema ratunku. Małżeństwo w postaci przekazanej przez tradycję jest chomątem, z którego ludzie usiłują wyswobodzić się wszelkim sposobem. „Taki związek to twardy obowiązek" — powiada Boy, jakgdyby znał Amerykę... A Lindsey mówi: „Nie mogę... przemilczeć, że małżeństwo istnieje dla dobra i szczęścia ludzkości, a nie ludzkość dla małżeństwa; że jest środkiem a nie celem, że jeżeli but nie wchodzi na nogę, to but należy przerobić a nie nogę." Narazie zaś wciąż przerabia się nogę, często w bolesnej praktyce (u naiwnych), a częściej może jeszcze w teorji (u chytrych), przerabiając w istocie, ale dorywczo, but.

Obłuda społeczna jest nieszczęściem, tamującem skutecznie dążenie do naprawy stosunków. Obłuda podpiera zbutwiałą fikcję, a raczej pozór, nie dbając o to, co się dzieje pod tą, niezawsze nawet piękną, pokrywką. Aby ocalić t. zw. nierozerwalność małżeństwa, patrzy się przez palce na prostytucję, faktyczną poligamję, na wszelakie brudy i nieszczęścia życia, jako na t. zw. zło konieczne, zamiast zdobyć się na rozumną, radykalną reformę, mającą za wytyczną pomnożenie szczęścia ludzkiego. Lecz to właśnie szczęście jest ostatnią rzeczą, o którą dbają moraliści — zauważa Lindsey, człowiek głęboko czujący. Moralistom idzie o „zasady", którym — jak to obserwujemy na każdym kroku — powodzi się w obecnym porządku społecznym jak najlepiej...

„Instynkt płciowy jest zjawiskiem biologicznem, podobnie jak głód i tak samo jak pragnienie pożywienia, nie jest ani uprawniony, ani bezprawny, ani moralny, ani niemoralny. Ustawa i władze są równie bezsilne wobec instynktu płciowego jak wobec odczuwania głodu i wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę. Dlatego też, gdy prawa i zwyczaje przeciwstawiają się pragnieniom, w istocie swojej naturalnym i normalnym, ludzie przestają uznawać te zwyczaje i prawa i skrycie lub otwarcie dają upust swoim pożądaniom." Skoro tylko to odbywa się skrycie, moraliści są zadowoleni.

Lindsey dotyka innych jeszcze ran życia, które odkryła przed nim praktyka sędziowska. Przytacza on pełne zgrozy przykłady, które są straszliwym dowodem na relatywizm także form obyczajowo-społecznych. Mówiąc o sprawie ograniczenia potomstwa, ten sprawiedliwy sędzia dla nieletnich wypowiada głęboko humanitarny pogląd, że każdy przychodzący na świat człowiek ma prawo żądać od rodziców i społeczeństwa takich warunków życia, by ono było dlań darem, a nie dopustem losu. Ma prawo — wobec tego, że społeczeństwo i państwo domagają się kategorycznie przyrostu ludności. Zamiast zaś dbać o to fundamentalne prawo człowieka, tradycyjni moraliści, czy moralni tradycjonaliści, wygłaszają różne floresy, nic nie mające z życiem wspólnego, nie dbając wcale o mnożące się z dnia na dzień zbrodnie dzieciobójstwa w formach niekiedy przerażające. Niedawno zdarzyło się (już nie w Ameryce, ale w Polsce), iż matka rzuciła nieślubne swe niemowlę na pożarcie wieprzom — inna, przed uduszeniem, pokrępowała dziecko i połamała mu rączki. Moraliści nie zwracają uwagi na takie błahostki, nic im nie mówią wyroki sędziów przysięgłych, z reguły niemal uwalniających dzieciobójczynie. A kronika sądowa ma chyba swoją wymowę! Rozumie ją dobrze Lindsey. Wie, że należy zmienić prawodawstwo, wie, jak chybiony jest dzisiejszy system kar. Przekonany jest o ich nicości, a nawet wręcz szkodliwości pedagogicznej i kładzie nacisk na znaczenie kultury duchowej opartej na prawdzie i szczerości, która jedynie zdolna jest zmienić oblicze świata. Gromi dzisiejszy system przemilczania, sprawiający, że o tem co najważniejsze poprostu się nie mówi. — Oburza go wybujałość i rozrost przepisów prawnych. „Obecnie tak jesteśmy otoczeni barjerami praw, zwyczajów i cenzury moralnej, pozbawiających nas zdolności rozsądnego i właściwego wyboru w tysiącu wypadkach, że trudno najczęściej przewidzieć, coby uczynił przeciętny Amerykanin, gdyby mu odebrano nagle wszystkie moralne podpórki."

Śmiała, piękna, i fascynująca przez swą prawdziwość książka Lindseya zawiera wszakże pewne restrykcje, które — jak się zdaje — są raczej werbalne. Są to cukierki, rozdawane w interesie prawdy tym, którzy nie znieśliby jej w całej nagości. Dążąc do reformy małżeństwa proponuje Lindsey m. i. „małżeństwo koleżeńskie", opierając się na zwyczajowej formie małżeństwa „na próbę", istniejącej od dawna w Szkocji. Często mówi oględnie, by rozumnych jego wywodów nie zakrzyczał ośli ryk oburzenia t. zw. opinji, niezdolnej do innej argumentacji.

Czytając tę książkę, popadamy w zdumienie, my, ludzie starego świata, iż w nowym tak mało jest trzeźwego myślenia, a natomiast tak dużo pruderji i hipokryzji, skądś nam już znanej...

Lindsey — *sapere ausus* — nie jest już oczywiście sędzią dla nieletnich. Błogosławionej, pełnej intuicji szlachetnego serca jego działalności zdołano już ukręcić

(Dok. art. na str. 501)

WOJNA Z WOJNĄ

W ARTYKULE o powieściach wojennych starałem się, między innemi, wykazać że naiwnem jest twierdzenie tych, którzy uważają wojnę za wytwór feudalnego czy kapitalistycznego ustroju społeczeństw, że wszystkie dotychczasowe ustroje z sowieckim włącznie były tylko różnemi formami treści zawsze jednej i tej samej a mianowicie wyzysku słabszych przez silniejszych, że bolszewicka Rosja uzbrojona od stóp aż po zęby jest równie imperjalistycznie nastrojona jak jej carska poprzedniczka, że więc wojna tkwi nie w systemie ale w naturze ludzkiej barbarzyńskiej jeszcze i dzikiej mimo pozorów cywilizacji, choćby proletarjackiej... Dziś chcę się zapytać, jak wobec tego walczyć z wojną, ale tak, żeby ta walka nie była ani obłudną fintą ze strony sowieckich apostołków, ani dobrodusznem samookłamywaniem się ewangelicznego pięknoducha.

Długie wieki cywilizacji starożytnej oraz chrześcijańskiej i buddyjskiej dokonały przynajmniej tego, że mord człowieka w życiu prywatnem jest dzisiaj rzeczą daleko trudniejszą niż dawniej. Nie wskutek lepszej sprawności policyjnej, tylko że te cywilizacje wydelikaciły w nas sumienie, zasadziły w nie i rozwinęły w niem lęk, grozę przed zadawaniem śmierci drugiemu. Życie bliźniego stało się dla człowieka prywatnego czemś nieskończenie cenniejszem od istnienia najszlachetniejszego zwierzęcia. Natomiast sumienie człowieka publicznego, zbiorowego zachowuje się do dziś dnia wobec sprawy masowego, wojennego mordu taksamo jak sumienie afrykańskiego barbarzyńcy wobec błahostki, jaką jest dla niego krwawe uprzątnięcie ze świata osobistego nieprzyjaciela — to jest sumienie milczy, niema go. Ten sam człowiek, który aż do wypowiedzenia wojny, jak długo chodził „w cywilu" przedstawiał dla drugich „cywilów" po tamtej stronie granic nietykalną wartość żyjącej osobowości, nagle, ubrany w mundur mobilizacyjny, przestaje być człowiekiem a staje się „wrogiem", jakiemś abstractum, drewnianą tarczą na pociski i cięcia. Bo długie wieki cywilizacji, chrześcijańskiej nawet, nie uczyniły nic, żeby wojnę obedrzeć z uroku romantycznego piękna. Najwięksi poeci romantyczni, republikanie z ducha, chrześcijanie z żarliwego, religijnego serca, korzyli się przed chmurnem czołem Napoleona, chóry anielskie śpiewały w duszy pana Podbipięty, kiedy spełnił ślub Bogu miły i ściął jednym zamachem trzy tureckie głowy, pan Wołodyjowski szedł do bitwy jak na wesele, ruszając żółtemi wąsikami z ochoty, żołnierz był dla wyobraźni „kolorowym ułanem" z djamentem jasnego słońca na grociku lancy.

Takie było wychowanie, taka literatura, kościół temu patronował, błogosławił i to nie pozwoliło publicznemu sumieniu stać się równie czułem na wojnę, jak prywatnemu na pospolity mord.

Trzeba więc wojnę odpoetyzować, odczarować, odoroczyć, odświęcić. Nie dawać chłopcom do rąk Iljady, gdzie ludzie przewracają się śmiercią jak kręgle drewniane, gdzie wojna jest niemal sportem, olimpijskiem igrzyskiem, a tak to wszystko wybielone, wyczyszczone piórem poety-rycerza, że tych kart przesyconych rzezią nie czuć wcale duszącym oparem krwi. Zamiast kolorowego ułana ze słońcem w grociku narzucić wyobraźni młodzieży szarego, zbłoconego piechura ze zmarszczką niezłomnego bólu na czole, jak idzie twardo na kule i gazy, tak jak on szedł naprawdę w ogromnej swej większości podczas wielkiej wojny, w grozie, lęku, ogłuszeniu i ściśnieniu lodowaciejącego serca. Tak jak idzie człowiek na opadające go zbóje leśne.

Przygotowywać młodzież do wojny tak, jak się przygotowuje marynarzy na burze, tajfuny. Że to jest rzecz okropna, zła, przeklęta, nie junacka zabawa, sport.

Pracą całych pokoleń budzić w sumieniu publicznem grozę przed zabijaniem wojennem. Aż sobie kiedyś uświadomi wojenną zbrodnię.

Taki antymilitaryzm nie jest grzechem przeciw dzisiejszym państwom i narodom. Tylko taki antymilitaryzm jest dzisiaj grzechem, na gruncie polskim zwłaszcza, który woła głupio albo perfidnie do prostego człowieka w mundurze wojskowym: rzuć o bruk karabinem polskim — poto, żeby ci zaraz potem wsadzili do rąk sowiecki, proletarjacki, i żebyś nim po proletarjacku zdobywał w chwale chińskie koleje i gruzińskie stada baranów!

Ani rządy przecież, ani szkoły publiczne, ani kościół nie zainicjują owego apolitycznego, bezinteresownego, rzetelnego antymilitaryzmu, wszystkie te instytucje idą bowiem pewnemi ustalonemi na długo programami, nawykami, siłą dotychczasowej ciężkości. Inicjatywę już dała literatura. W tem, co już zrobiła z myślą o pacyfikacji świata, dużo jeszcze nieporozumień, dużo przewidzeń i przywidzeń, dużo zwłaszcza fałszu. Obok szczerych apostołów — błazny. Tych ostatnich najwięcej. Najkrzykliwsi. W swem życiu prywatnem pulchniutkie basałyki ssące z freudowską rozkoszą piersi burżuazyjnego kapitału, burżuazyjnej moralności i burżuazyjnej wolności opartej na policji i wojsku, a w książkach i teatrze proletarjackie piotrowiny maszerujące na Belweder w ekstazie Savonarolów rewolucji. Z pomiędzy zaś szczerych apostołów jedni, jak Rolland, sprowadzani na szlachetne zresztą manowce myśli przez jakiś oderwany od otaczającej nas rzeczywistości naciąg myślenia, drudzy, jak Barbusse, przez zaślepienie społeczno-polityczną doktryną. Ale są i rzeczy pomyślane głębiej, spokojniej, beznamiętniej i bardzo, bardzo uczciwie, że wymienię „Na rozdrożu" Gibbsa. W każdym razie dotychczasowa literatura antywojenna odziera wojnę z poezji, budzi sumienie publiczne, wprowadza do dusz lęk i grozę przed mordem zbiorowym. Tylko trzeba pamiętać, że ona n i e p r ę d k o potrafi przemielić dusze w hełmach ze stali naszych sąsiadów z zachodu i wschodu. Trzeba widzieć jasno, że nowa wojna przyjść musi, jeszcze bardziej krwawa i niszcząca, że jej nie zatrzymają jeszcze ani Ligi narodów, ani pacyfiści, a nigdy rewolucje socjalne.

Że Polska będzie musiała się bronić. Chyba że patrjotyzm jest wymysłem fabrykantów i dostawców wojennych, a potrzeba zachowania języka i kultury indywidualnej narodu przesądem, — zaś czemś wyższem i prawdziwszem, bardziej ludzkiem jest międzynarodowy żołądek i wszechludzkie organy rozrodcze człowieka!

Chyba że własne, narodowe państwo nie jest warte jednej, mało dobrowolnej i mało świadomej śmierci najnędzniejszego z żołnierzy. — Bo w takim wypadku lepiej się odrazu rozbroić i rozdać wszystko sąsiadom. Po tołstojowsku, po chrześcijańsku, jako że marnością jest państwo — ciało z tego świata, wobec Królestwa globowego ducha... Także i dla czystego rozumu państwo, narodowość są niczem w porównaniu z wyzwoloną z materji, abstrakcyjną ludzkością; tylko że czysty rozum jest czystą fikcją, a żywy, praktyczny człowiek nosi w sobie irracjonalny imperatyw, który mu każe wbrew antynomicznym perswazjom intellektu walczyć w obronie indywidualności plemiennej. Potrzeba obrony takiej ustanie, kiedy ustanie wojna, a wojna ustanie wtedy, kiedy w sumieniu zbiorowem posiądzie groza przed wojną, świadomość zbrodni wojennej.

To przyjdzie napewno, byle się tylko nie łudzić bliskością tej bożej epoki, jak zresztą sto lat temu łudził się Mickiewicz i jego koledzy z College de France w obliczu nadchodzącej wiosny narodów.

KAZIMIERZ BROŃCZYK

MARA BELCZEWA, POETKA BUŁGARSKA

Wysoka, klasycznie piękna pani znana jest dobrze w całej Sofji. Ma w sobie coś z czaru epoki minionej, coś jakby z pilnie strzeżonych tajemnic naszych mam — a jednak jest nawskróś „dzisiejsza".

To Mara Belczewa — poetka bułgarska. Aby zrozumieć jej twórczość, trzeba poznać jej życie. Życie o dziwnym kolorycie rembrandtowskim. Dużo światła i dużo cieni.

Ośmnastoletnia Mara wychowana zagranicą, władająca wieloma językami, wychodzi za mąż za ministra finansów Belczewa w gabinecie Stambulowa. Przez dwa lata jest ozdobą salonów dyplomatycznych, ministerjalnych, zbiera hołdy głów koronowanych, jest pięknością znaną w całej Europie.

Aż oto nadchodzi dzień tragiczny: Minister Belczew wracając wieczorem piechotą w towarzystwie Stambulowa, zostaje ugodzony kulami zamachowców i pada trupem na miejscu. Tragiczna pomyłka: kule były przeznaczone dla towarzysza. Mara zostaje wdową. Ma lat dwadzieścia...

Król Ferdynand, ojciec obecnego Borysa chciałby tę stratę jakoś wynagrodzić, wyrównać: Mara Belczewa zostaje damą dworu. Ale to życie zewnętrzne, błahe, choć na pozór pełne blasku — nie daje zadowolenia.

W tajemnicy przed wszystkimi ucieka z Bułgarji. W sercu chowa żal do ojczyzny; postanawia nie wrócić do niej nigdy.



MARA BELCZEWA

Studjuje filozofję w Genewie, tam kończy uniwersytet.

— Ale nic, nic, ani wesołość dworu, ani nauka, ani wytężona praca nie zdołały zabić tego bolu, który mi życie zgotowało na samym progu. Dopiero w któryś dzień, gdy słuchałam „Oratorjum" Mendelsohna, poczułam się znów zdrowa. Przyszła odwaga i oto mogłam iść dalej.

Tak. O tem wszystkiem trzeba wiedzieć, aby zrozumieć twórczość tej głębokiej poetki.

„Szukałam Cię we wszystkich religjach z zawiązanemi oczyma. I zawsze wracałam do krzyża: I piłam z Tobą ocet i żółć. I czułam wszystkie gwoździe życia".

„Gwoździe życia" — to nie jest poetycki frazes sonetu.

Życie rzuci jeszcze jeden blask na drogę Mary Belczewy — jakby zaprawdę pożyczyło pędzla rembrandtowskiego. A będzie to głęboka, święta przyjaźń z największym poetą bułgarskim Penczo Sławejkiem. Pod jego wpływem zaczyna pisać. Tłumaczy Zaratustrę.

— Krytyka uznała tłumaczenie za bardzo dobre. Nie wiem, może dlatego, że mówiłam tam, gdzie mówił Zaratustra — a umiałam milczeć — i to jest ważniejsze — gdy on milczał.

I znów zatrzymał się z rozmysłem rembrandtowski pędzel życia: może już za wiele światła, znów trzeba położyć cień głęboki...

Penczo Sławejkow zaczyna chorować. Mara Belczewa sprzedaje wszystko co posiada, aby tylko ratować drogiego przyjaciela i największego poetę bułgarskiego. Ale śmierć położy się czarną plamą i żaden blask już nie rozświetli obrazu życia Belczewy.

— Z góry, skądś z góry szło zawsze nieszczęście, — mówi do mnie z mądrym i jakby już napoły przebaczającym uśmiechem. — Ale cóż — — Wierzę, że niema człowieka ani większego, ani mniejszego, wszyscy są równi, każdy ma swoje miejsce na ziemi, każdy ma swoje zadanie do spełnienia. Śmierć? Cóż śmierć? Myślałam o tem dużo. Zetknęłam się z nią tylekroć w życiu — zabierała mi najdroższych, jednych po drugich. — Ale naprawdę cóż ona? Po tem wszystkiem wierzę w życie. W życie wieczne, mocniejsze od śmierci. Wysiada się na jakiejś stacji i tylko ci, co zostają, nie wiedzą, w którym kierunku udał się wysiadający — — — „Dokąd" — tego nie wiem. — Ale wierzę, że nie zginął — —

Tak mówi i taka jest poezja Mary Belczewy.

Była arystokratką. A potem przez światła i cienie, przez blaski i plamy, uśmiechy i krzyże, radości i łzy, zwycięstwa i upadki szła coraz niżej — do najniższych, można nawet powiedzieć do *poniżonych*. Zatrzymała się na punkcie, o którym sama mówi: „niema człowieka ani większego, ani mniejszego, wszyscy są równi, każdy ma swoje miejsce na ziemi". I w tem jest spokój, w tem szczęście. Szczęście może odrobinę gorzkie, ale jednak...

Nie miała dzieci. I może właśnie dlatego uczucie macierzyństwa jest w niej takie szerokie: wszystkie dzieci są jej. Jeśli się nie ma własnych, trzeba być dziećmi dla samych siebie i dla drugich. A to jest bardzo trudne.

Miłość, przyjaźń — to nie ozdoba życia, to bardzo ciężki, święty obowiązek, który trzeba wypełniać z surową powagą i najgłębszem oddaniem.

Dostaliśmy od kogoś duszę szlachetną, sami ją potem zepsuliśmy, trzeba ją oddać znów taką czystą, jaką była: w tem właśnie nasze zjednoczenie z Bogiem. Jak człowiek o Bogu tak Bóg o człowieku myśli i marzy. Wzajemne szukanie, wzajemna tęsknota, wzajemna chęć odnalezienia się.

Takie są „Sonety" Mary Belczewy, nagrodzone przez bułgarskie Ministerstwo Oświaty. Wiersze tej poetki tłumaczył Miciński, wielki entuzjasta jej talentu; ogłaszał drukiem w czasopismach polskich.

Mara Belczewa to wielka przyjaciółka Polski, rozkochana w naszej literaturze. Przed dwoma laty obchodziła jubileusz sześćdziesięciolecia, ale patrząc na jej fotografję — (teraz zdejmowaną) czyż można to odgadnąć?

KAZIMIERA ALBERTI

MARA BELCZEWA

JAK DŁUGO JESZCZE...

Jak długo jeszcze będziesz doświadczał mnie Panie?
Uśmiechnij się, a wszystko możliwem się stanie:
Zasłucham się w Twój ciepły głos,
Dojrzeję na Twej niwie — złoty kłos.

I już błyskania sierpa się nie trwożę,
Świętą prawicę Twą na głowie mej położysz,
Jako struna, co pieje aż do zachłyśnięcia —
Życie się me wyśpiewa w Twym oddechu Boże.

Nagle przegroda wielka między mną a Tobą
I ciemny obłok Twoje spojrzenie zasłania.
Jak straszny koszmar w mym głębokim śnie
Ziemia i niebo przyciskają mnie.
Bulgocze pod dnem nocy dusza moja — rzeka,
do Ciebie płynie ona, czy z Ciebie wycieka?

Z oryginału bułgarskiego tłumaczyła
KAZIMIERA ALBERTI

„KRÓL NIKODEM"

GROTESKA FANTASTYCZNA FERDYNANDA GOETLA I RAFAŁA MALCZEWSKIEGO
W LWOWSKIM „TEATRZE ROZMAITOŚCI"

Jedna przed wszystkiem wybija się refleksja o tej sztuce: że w dobie, którą znamionuje rozpoznawanie życiowego znaczenia: kolektywu, zbiorowości, siły społecznej, słowem antyindywidualizm nieraz aż nazbyt jaskrawy — powstaje dzieło będące wyrazem tęsknoty człowieka wielkiego, krzykiem o jednostkę — jednostkę silną, przerastającą poziom szarej przeciętności. Jeśli co — to właśnie takie zjawisko pokazuje literaturę współczesną jako literaturę bezdroża, punktu krytycznego. Wiele wytworów poczytywanych za świadectwo rozkładu jest już tęgą, żywą, nową wartością życia. A o przełomowym charakterze czasu świadczy ów brak decyzji, nieświadomość drogi, wielokierunkowość (o bezkierunkowości — nie mówię) owa oscylacja w zasadniczych nastawieniach — między krańcowemi ekstremami.

Zwątpienie w indywiduum i brak siły równoważącej to zwątpienie stanowi duszę dzieła Goetla i Malczewskiego. Wprawdzie ostatni akt kończy (tak scenicznie świetnie pomyślana przez Radulskiego) scena przeciwstawienia dwu żywiołów, dwu grup społecznych: źle rządzących i źle rządzonych, ale nie dochodzi między niemi do starcia, do walki dwu idej, dwu prawd... Zasadnicze, wieczyste, koniecznie niezmienne rozbicie społeczne — w tem zawiera się także deklaracja pesymizmu — koronuje, godzi, łączy: władca-automat.

Utwór Goetla-Malczewskiego, wyrósł (przynajmniej w jednym elemencie składowym) z realnej rzeczywistości polskiej i to na drodze negatywnego ustosunkowania się do jej przejawów. Zazwyczaj w logicznem następstwie takiej postawy odbywa się rzutowanie, projekcja w przyszłość. Projekcja, która zawiera się w dwu możliwościach: pozytywnego przeciwstawienia przyszłości — temu co jest, bądź negatywnego pokazania przyszłości, jako skutku teraźniejszości. Powstaje wizja nadejść mającego czasu — pesymistyczna lub optymistyczna. Wizja zagłady, średniowieczna, chiljastyczna wieszczba „końca świata" albo kształt marzony świata odrodzonego: lepszego i doskonalszego. „Król Nikodem" wciela pierwszą możliwość. Bliski jest profetyzmu S. Ig. Witkiewicza, którego duch od pierwszej uwagi inscenizacyjnej o portrecie królewskim, unosi się nad sztuką. Sugestja „Witkacego" twórcy teorji czystej formy, wyrafinowanego degenerata kultury współczesnej, przeżartego do dna metafizycznem odczuciem absurdu życia — jest niewątpliwa (podkreślił ją wyraziście także prof. Kozicki). Droga jednak, po której autorowie „Nikodema" do pokrewnej Witkiewiczowi koncepcji świata przyszłego, jest zupełnie inna. Kształtuje się ona na podstawie satyrycznego uchwycenia zasadniczych rysów współczesności polskiej, gdy u Witkiewicza wypływa z jakiegoś kulturalnego, psychicznego spleen'u, wynaturzenia, wybujania. U Witkiewicza jest chorobliwy przerost indywidualizmu, w „Nikodemie" jego małość, jego zanik, czy niedorozwój. Wizja katastrofy kultury w powieściach Witkiewicza wyrasta z założeń ściśle subjektywnych, tu — z materjału życiowej obserwacji.

Ten materjał — oświetlony satyrycznie, obrysowany ironją — stanowi naczelny składnik sztuki i jej wartość zasadniczą. Przedewszystkiem powinien być brany pod uwagę. Dlatego możnaby z niejaką słusznością żądać, aby pewne partje były więcej mówione, niż grane: w sposób, jakiego wymagają sztuki Shaw'a. Dialektyka dzieła pisarzy polskich daleka jest od charakteru i poziomu tej zawartości myślowej, która przepełnia po brzegi i poważ brzegów utwory autora „Wielkiego kramu". Niemniej wiele paradoksów udatnych, znaczne bogactwo lapidarnej aforystyki — w scenicznej interpretacji zatracało się, nie „chwytało" na widowni.

Interpretacja sceniczna z natury rzeczy położyła nacisk na drugi element składowy sztuki, dobywała przedewszystkiem jej groteskowość. Skojarzenia tych elementów (zapewne wynik spółki dwu różnych indywidualności autorskich) było usiłowaniem ciekawem. Nawet — frapującem. Bo pomyśleć: satyra tkwi w realizmie życiowym, groteska jest odskokiem od rzeczywistości, jest jakby zwolnieniem jej z praw przyrodzonych, jest fikcją nowego wymiaru. Nie można powiedzieć, aby ten zestrój w „Nikodemie" był zupełnie idealny. (Chyba wątpić należy czy kiedykolwiek może być?). W pojedyńczych szczegółach i w całości czuło się nieorganiczność, znaczny brak równowagi między temi pierwiastkami. Dwa pierwsze akty ukazują przewagę satyry, mają charakter komedjowy; w trzecim przeważa groteska. Ale to niezasadniczy zarzut. I to także nie, że czuje się w tej sztuce wysilenie twórcze, jakby chłód, że nadarzają się wśród partyj świetnych (np. niestety opuszczona na rzecz słabszych — scena z pacyfistą i militarystą) — logiczne, myślowe i sceniczne płycizny, razi nieraz — niewyszukanie lub właśnie sztuczność dowcipu. Główny grzech tej sztuki, to brak pozytywnego, ideologicznego programu. Cała jest negacją, cała jest ewokacją potwornego koszmaru, nie przypuszcza żadnej możliwości innej, nie żywi żadnej wiary, niema wymowy pobudzającej. Owładnięta jest duchem absolutnego pasywizmu. W założeniu satyry zawiera się pewna idea pozytywna, pewna akcja przeciwstawiająca. Tu jej — braknie zupełnie. Jest natomiast walor pierwszorzędnej wartości. Sprawiedliwe, objektywne, miejscami uderzająco ostre, trafne uchwycenie satyryczne wielu rysów współczesnej obyczajowości, a przedewszystkiem: układu polityczno-społecznego. Skupienie ich jest tak znaczne, tak hojnie rozrzucone po tekście, że niepodobna go tutaj określać. „Nie mogę nareszcie zamknąć wszystkich fabryk, a zostawić same browary" — mówi Nikodem do robotników. Gdzieindziej reprezentant ludowy takie świadectwo wystawia swojej epoce: „Czasy są demokratyczne... nie starczy mieć rozum, trzeba udawać głupiego" etc.

Świat ludzki „Króla Nikodema" składa się z jednostek słabych lub złych. Istnieją coprawda silne, ale złe i dobre, ale słabe. Ten osąd jest tem wymowniejszy, że przeważają typy, reprezentujące całe warstwy społeczne czy wielkie motoryczne siły dzisiejszego życia. Między spekulantem giełdowym, zdegenerowanym arystokratą i chłopskim sobkiem odbywa się walka o władzę. Impulsem, który pcha do niej jest ambicja i egoizm. Który porzucać ją każe — niedołęstwo i tchórzostwo. Wkońcu władza dewaluuje się tak, że w konkursie Naprawy Państwa „laureat zostaje prezesem ministrów z prawem zamiany na... 25 zł gotówką". Sztuka kończy się powrotem do rządów automatycznego władcy Nikodema I., odlotem jego wynalazcy Rybaka na Marsa, proklamacją powszechnej mechanizacji życia: „Nie myśleć, nie jeść, nie rozmawiać, a istnieć". Rok 2000-y... — W ten finał pełen beznadziejnego pesymizmu, reżyser W. Radulski wprowadził refleks jaśniejszy przez postać ex-żony Rybaka, politycznej kurtyzany Chloe, w której konsekwentnie wydobył przeciwstawienie siły charakteru, choćby ujemnego wśród tej sfory miernot ludzkich, pozytywne dążenie, poszukiwanie wielkości.

Ujęcie sceniczne zdumiewało inwencją i starannością opracowania. Znowu pokazano realną pracę, wysiłek naprawdę wielki. Po Schillerze, jego najmłodszy współpracownik reżyserski W. Radulski sprezentował wysoką klasę roboty inscenizacyjnej. Ujął rzecz w ramy konstrukcji scenicznej. Groteskowość sztuki, przesunięcie akcji w przyszłość, przypisywanie jej przez autorów: wysokiej celowości, antyestetyzmu, automatyzacji — słusznie podsunęło mu ujęcie konstruktywistyczne t. j. zabudowanie przestrzeni scenicznej dynamicznie współdziałające z grą aktorów, ułatwiające rytmiczne ukształtowanie akcji dramatycznej. Dano więc bezpośrednio w odsłoniętym horyzoncie sceny uproszczoną konstrukcję geometryczną, odsłoniętą aparaturę sceniczną (reflektory, lampy), podporządkowano i zespolono w szczegółach tło z treścią sztuki. W rozwiązaniu aktorskiem Radulski włączył w zasadnicze ujęcie realistyczne zgodne z elementem realistycznym sztuki (satyra) pewne szczegóły nierealistyczne przedewszystkiem w operowaniu tłumem, w złożonych momentach akustycznych i t. p. Rozrzucił mnóstwo wielkie świetnych pomysłów inscenizacyjnych (np. w akcie II. cienie wygrażających pięści tłumu), umiejętnie operował efektami świetlnemi (zwłaszcza w akcie III., wyraziście dobywał nastrój momentu akcji), choć może nazbyt wielokrotnie mnożyły się cienie aktorów. Doskonale się z nim uzgodnił i wiele pomysłowości okazał Wł. Daszewski, jako dekorator i projektodawca niektórych, fantastycznych kostjumów (z wyjątkiem sukni Chloe w akcie III.). Poziom aktorski niezwykle wyrównany, a wysoki. Świetną trójkę stanowili: Machalski — Pała (doskonały w typie), Znicz — Winkeleisen (trochę farsowy, ale nieszkodliwie), Chodecki (świetna maska i aparycja). Poza nimi: Życzkowska, Bonecka, Konradt, Akrzyński i in.

Kierownictwu dramatycznemu należy uznać za zasługę danie próby oceny jednemu z najciekawszych i najodważniejszych usiłowań dramaturgji polskiej ostatnich czasów.

Rzecz z rozlicznych względów godna widzenia.

TYM. TERLECKI

BUNT NOWYCH CZASÓW

Z POWODU KSIĄŻKI BEN. B. LINDSEYA „BUNT MŁODZIEŻY"
WYDANEJ PRZEZ INSTYTUT WYDAWNICZY „RENAISSANCE"

Dok. art. ze str. 498

głowę. (Galileuszowi też brano swego czasu za złe głoszoną przezeń niemoralność, iż ziemia kręci się naokoło słońca.) Tem głębsza należy mu się wdzięczność, jako jednemu z tych, których myśl, zatroskana o szczęście ludzkości, wyprzedza ją w pochodzie ku światłu, ich samych zaś skazuje za to na cierpienie. LYNX

KRONIKA WARSZAWSKA

PLOTKI I SENSACJE literackie, ciekawsze premjery i skandale intelektualne, wizyty cudzoziemców, dowcipy krążące po mieście, rozmówki podsłuchane w salonie lub w kawiarni, to wszystko co się przegląda w powierzchni i trafia do głębi życia artystycznego, będę się starała zamknąć w ramach tej kroniki. Zależnie od tempa wypadków czasem będzie w niej więcej zdarzeń, czasem więcej rozważań. Ważność wypadków jest dla artystów względna i płynna: jakiś nowy wiersz może zaćmić przepychem egzotycznego władcę objeżdżającego Europę, a zły przekład dobrej książki wzburzyć bardziej niż sensacyjne morderstwo. Każda rzeczywistość ma swoją własną perspektywę.

Więc zaczynajmy. Oczywiście od skandalu, nic bowiem tak nie pobudza krążenia krwi i myśli jak skandal. Głośno o nim obecnie w całej prasie, niema prawie literata, któryby w tej sprawie nie chwycił za pióro, przynajmniej poto, aby złożyć swój podpis pod protestem. Skandalem tym są autokratyczne rządy jednego z wyższych urzędników, kierownika Funduszu Kultury. Pan Michalski, człowiek osobiście uczciwy i ongiś, w czasach niewoli, zasłużony, dostał w ręce, do swojej wyłącznej dyspozycji 50-miljonowy fundusz dla spraw nauki i sztuki. Jest to obecnie człowiek stary, daleki od życia, opanowany różnemi manjami prześladowczemi, despota. Krążyły o nim oddawna różne anegdotki: w udzielaniu zasiłków różnym osobom kierował się najdzikszem widzimisię, topił pieniądze w niepotrzebnych nikomu wydawnictwach, darzył nieubłaganą nienawiścią najwybitniejszych pisarzy, ale ostatecznie nikt się do niego nie wtrącał, choćby z tego powodu, że użeranie się o sprawy pieniężne jest dość nieprzyjemne. Jednak w ostatnich czasach przebrała się miara. Pan Michalski, gotujący się już do przejścia na emeryturę, zapragnął się uwiecznić i nawet po swojem ustąpieniu nadać kierunek „opiece" nad literaturą. Stworzył, nie zwracając się do żadnej organizacji literackiej, ani do żadnego z czołowych pisarzy, Instytut Popierania Literatury i przekazał mu wszystkie rozporządzalne fundusze. Żywiołowa nienawiść pana Michalskiego do żyjącej literatury znalazła pełny wyraz. Instytucja ta odrazu została zmajoryzowana przez różnych profesorów, którzy mają tę właściwość, że lubią bardzo pisarzy, ale... po ich śmierci. Prócz nich kilka pań, nieznanych ogółowi, oraz paru literatów, którzy z wyjątkiem jednego nie odgrywają żadnej roli we współczesnym ruchu artystycznym. „Ciało" to, od chwili narodzin swoich starcze, nieruchawe i wrogie współczesnemu życiu, ożywione duchem kliki i to kliki wstecznej, w ocenie ludzi kierujące się raczej ich przynależnością partyjną, niż zasługami, już zamanifestowało swoją egzystencję paroma enuncjacjami w prasie, w których posypały się nieprzyjazne oceny współczesnej literatury wogóle i paru wybitnych pisarzy w szczególności. Sprawa jest zbyt skomplikowana, żeby ją można było wyczerpać w tej krótkiej informacyjnej notatce, ale rezultatem jej, nie wymagającym komentarzy jest zbiorowy protest w s z y s t k i c h niemal pisarzy polskich oraz związków literackich. Z rzadką jednomyślnością położyli swe podpisy obok siebie Weyssenhoff i Kaden-Bandrowski, Perzyński i Boy-Żeleński, Dębicki, Goetel, Słonimski, Nałkowska, Strug, Tuwim i inni. Nie chodzi tu o kwestję pieniędzy, jak informują niektóre pisma, bo wszyscy ci pisarze żyją z pióra i nie żądają od nikogo zasiłków. Ale chodzi o to, że skoro jest fundusz na literaturę, nie można go oddawać w niepowołane ręce, nie można popierać pisarzy zależnie od ich prawomyślności religijnej czy politycznej, nie można dawać władzy ani moralnego prestiżu miernym ludziom, którzy mają się „opiekować" pisarzami przerastającymi ich o parę głów, niby małoletnimi którzy nie mogą stanowić sami o sobie. Jednem słowem wzburzenie wielkie, protesty się sypią, ale czy wydadzą jakiś skutek, niewiadomo. Gdyby jednak padły w próżnię, smutnieby to świadczyło o autorytecie, jaki mają wśród społeczeństwa nasi pisarze i o ich wpływie na opinję. Świadczyłoby, że wraz ze zmniejszeniem się czytelnictwa, z rosnącą obojętnością dla książki, rośnie wśród sfer miarodajnych i wśród narodu obojętność dla tych, którzy powinni stać na czele i którzy nienajgorzej spełniali te swoje zadania za czasów niewoli.

Ale mówmy o rzeczach weselszych. Po skandalu — o wizytach. Ostatniemi czasy Warszawa coraz częściej podejmuje cudzoziemców. W czerwcu odbył się międzynarodowy zjazd Penclubów. Od tego czasu ruch jest nieustanny. Ostatniemi czasy zjechali niemal jednocześnie: Morand, Pitigrilli i Oudard.

Paul Morand, świetny i oryginalny pisarz, niezrównany stylista, jedna z czołowych postaci współczesnej literatury francuskiej, przytem dyplomata, przyjechał do Warszawy prywatnie w odwiedziny do pana Laroche, ambasadora francuskiego. Widocznie znudzony fetami, jakie wydają na jego cześć wszędzie gdzie się zjawia, nie zawiadomił o swoim przyjeździe polskiego oddziału Penclubu, to też literaci polscy nie mieli sposobności się z nim zetknąć. Trudno mu się dziwić, bo czyż może być gorsza piła, niż oficjalne przyjęcia. Jednocześnie, jak w dobrej komedji pojawiła się w Warszawie postać, będąca Morandem en grotesque, poprostu jego karykatura. Pitigrilli, jeden z najpopularniejszych obecnie bluffiarzy literackich, człowiek usilnie zabiegający o markę pornografa, przedpokojowy wykwintniś, o erudycji fryzjera a filozofji pretensjonalnego fortänzera z dancingu, autor „zabójczych" aforyzmów o „płci pięknej", umiejący bardzo po kupiecku zabiegać o sukces — przyjechał do Warszawy użerać się ze swoim polskim wydawcą, słynnym z „roztargnienia", kiedy chodzi o płacenie autorom. Może wreszcie znudzony hotelowemi sukcesami snob, „cynik" twierdzący, o zgrozo, że nie każda panna jest dziewicą, naszpikowany taniemi aforyzmami pogromca mężatek, nauczy wreszcie z kupiecką bezwzględnością polskich autorów, jak się należy bronić przeciw figlarnym wydawcom.

Trzeci z polskich gości, sympatyczny przyjaciel Polski Oudard, autor między innemi książki p. t. „La Polonaise", spędził tu parę tygodni, podejmowany serdecznie przez wszystkich. Wesoły i pełen prostoty w obejściu, rozmowny, wymowny, zachwycony wszystkiem co widział i słyszał, pozyskał sobie szczerą sympatję tych, którzy się z nim zetknęli. Swoją drogą cudzoziemcy zwiedzający Warszawę, stykający się siłą rzeczy z elitą towarzyską i intelektualną stolicy, wynoszą często pochlebne ale nieco fantastyczne pojęcie o panujących tu stosunkach. Tenże Oudard, siedząc kiedyś w towarzystwie Nałkowskiej i Magdaleny Samozwaniec powiedział z odcieniem zdziwienia: „Mój Boże, jakie te Polki są inteligentne". Było to miłe, ale trudno mu było tłumaczyć, że subtelna i przenikliwa mądrość Nałkowskiej, albo zaraźliwy humor pani Magdaleny nie są normą obowiązującą wśród Polek. Podobno inny z pisarzy francuskich wyniósł z Warszawy wrażenie, że najpoczytniejszym autorem w Polsce jest — Marcel Proust, najgenjalniejszy, ale i najtrudniejszy ze współczesnych pisarzy, którego nawet we Francji znają zaledwie jednostki.

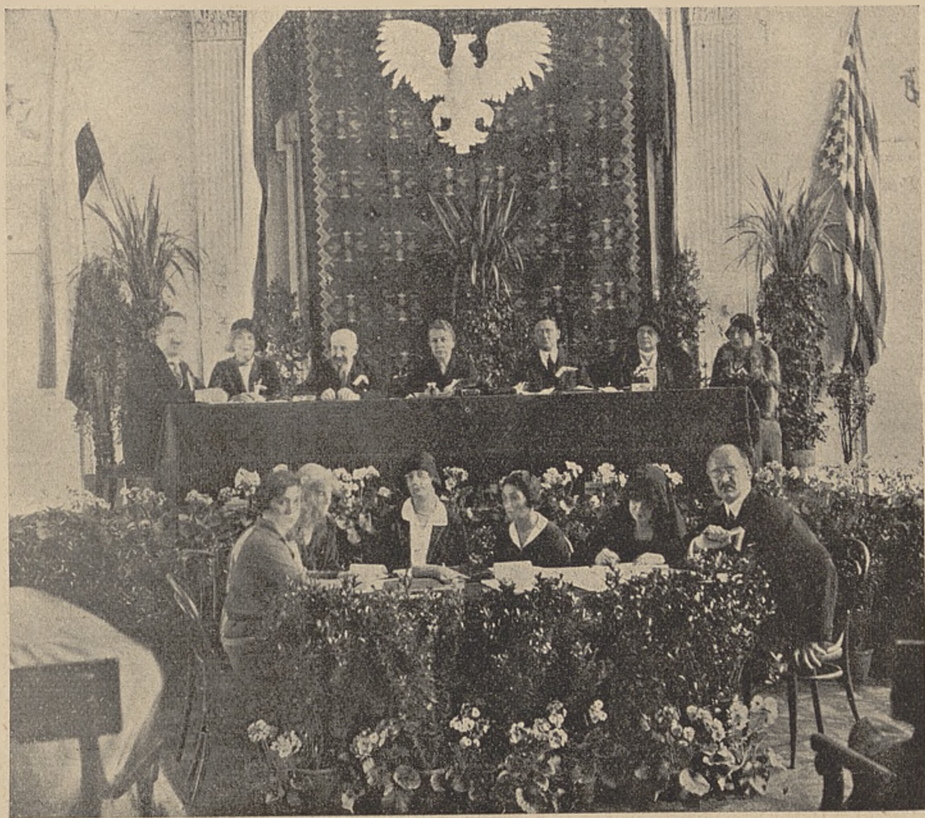
Taki jest mniej więcej plon ostatnich tygodni.

IRENA KRZYWICKA

KONGRES DLA WALKI Z HANDLEM KOBIETAMI I DZIEĆMI

W PIERWSZEJ POŁOWIE października odbyły się w Warszawie obrady Międzynarodowego Kongresu dla Walki z Handlem Kobietami i Dziećmi. Zjazd ten dla Polski miał tem większe znaczenie, że u nas — niestety — wskutek ciężkich warunków ekonomicznych i braku odpowiedniego uświadomienia, kwitnie jak nigdzie handel kobietami, wywożonemi następnie do krajów południowej Ameryki i bliskiego Wschodu. Walka z handlarzami jest już rozpoczęta, a Kongres miał na celu dalsze ulepszenie jej metod.

Zanim przejdziemy do zdania sprawy z Kongresu i omówienia powziętych rezolucyj, warto przypomnieć sobie początki walki z handlem żywym towarem w Polsce. Były one trudne. Władze zaborcze, oczywiście odpowiednio „smarowane", patrzyły przez palce na działalność handlarzy. Dopiero w 1910 roku Chrześcijańskie i Żydowskie Towarzystwa Ochrony Kobiet, łącznie z Polskiem Towarzystwem Walki z Nierządem i Chorobami Wenerycznemi (obecnie: Towarzystwo Eugeniczne) wymogły zniesienie domów publicznych w Kongresówce. Lecz podczas okupacji Niemcy zaprowadzają reglamentację bardzo ścisłą i dopiero w 1922 roku domy publiczne są zamknięte — tym razem już na całym obszarze państwa. W 1920 r. Polska deleguje stałego członka (wielkiego bojownika o prawa kobiece od lat siedemnastu) Stanisława Posnera do komisji doradczej Ligi Narodów do spraw walki z handlem — czem zyskuje wpływ na przebieg obrad. W dwa lata potem ratyfikowano konwencję międzynarodową w sprawie zwalczania handlu żywym towarem. W 1923 r. powstaje Polski Narodowy Komitet (na wzór analogicznych instytucyj za granicą) i odtąd rozpoczyna się regularna i planowa praca. A więc odczyty, propaganda w prasie, nakręcanie odpowiednich filmów, wreszcie opieka nad podróżującą samotną kobietą, t. zw. Misje Dworcowe. Jeśli chodzi o wynik pracy tych ostatnich, to najlepiej zilustruje go porównanie dwuch cyfr: w r. 1925 Misje Dworcowe udzieliły pomocy w 6.210 wypadkach, w 1929 — w 20.144.



Prezydjum Kongresu dla Walki z Handlem Żywym Towarem

Najważniejsze kwestje, poruszane na VIII Kongresie, to walka z sutenerstwem, repatrjacja prostytutek, angażowanie artystek za granicę i emigracja kobiet samotnych. O ile dyskusja nad dwiema ostatniemi sprawami dała dość zgodne wnioski, o tyle obie pierwsze wywołały rozbieżność zdań, spowodowaną odmiennemi zapatrywaniami na zagadnienie nierządu.

Handel żywym towarem jest ściśle połączony z prostytucją. Zwalcza się handel, ale czy zwalczać także prostytucję? Część delegatów uważała, że prostytucja jest pożądana, że ona właśnie zabezpiecza moralność większości społeczeństwa, że przecież nie wszyscy mogą sobie pozwolić na małżeństwo, ale muszą jednakowoż zaspokajać potężny popęd seksualny. Druga znowu część, bardziej demokratyczna, dąży do tego, by znieść nierząd. Popęd seksualny jest sprawą prywatną, zaspokoić go może — poza małżeństwem — wolna miłość, którą państwo nie powinno się wcale zajmować; nie wolno mu dzielić kobiet na kastę uprzywilejowaną i wydziedziczoną.

Ta zasadnicza rozbieżność poglądów musiała wywołać różne projekty metod walki z handlem kobietami. Odbiła się ona także na wynikach dyskusji, prowadzonej zresztą dość niezaradnie i ospale. Kwestja sutenerstwa jest bardziej skomplikowana, niżby się zdawało, gdyż sutener nietylko wyzyskuje, ale i broni prostytutkę. Niema dwuch zdań, że tym nieszczęśliwym ofiarom należy się opieka, szczególnie tam, gdzie istnieje przymus reglamentacyjny — lecz winna to być bezinteresowna opieka prawa, a nie sutenerów. Międzynarodowe Biuro walki z handlem żywym towarem przedstawiło kongresowi szereg rezolucyj w tej sprawie. A więc: ograniczenie wydawania paszportów zagranicznych osobom skazanym za sutenerstwo i handel;; niewypuszczanie za kaucją pozostających w areszcie sutenerów wreszcie stosowanie dozoru policyjnego nad wypuszczonymi sutenerami. W prawodawstwie angielskiem znajdujemy jeden paragraf, dający znakomite wyniki: otóż tam wystarczy samo podejrzenie sutenerstwa i niemożność udowodnienia bezpodstawności oskarżenia, aby dany osobnik został aresztowany. Prawo dość drakońskie; że jednak skuteczne, świadczy fakt zupełnej prawie likwidacji sutenerstwa w Anglji, gdy tymczasem w Polsce mamy około 2.000 sutenerów. Miał więc rację delegat Hiszpanji, domagając się uchwalenia rezolucji, ustalającej wyraźnie pojęcie sutenerstwa, oraz nałożenia za ten proceder kar tak wysokich, by czyniły zajęciem zbyt ryzykownem wyzysk prostytutek i czerpanie dochodu z ich nierządu. Ale więcej było frazeologicznych dyskusyj, niż głębszego wniknięcia w tę kwestję.

Drugą sprawą, której poświęcono sporo czasu, była kwestja repatrjacji prostytutek. Zagadnienie to wypłynęło z projektu Biura Międzynarodowego dla walki z handlem żywym towarem, żądającego wprowadzenia, drogą międzynarodowej konwencji, zakazu wjazdu w granice państwa obywatelek obcych, których jedynym zamiarem jest uprawianie nierządu. A więc w rozwoju tego projektu — koncepcja: nie wpuszczać nowych prostytutek, ale i wydalać z kraju te, które są cudzoziemkami. Oczywiście, że przymusowa repatrjacja odnosi się tylko do tych wypadków, kiedy prostytutka popełni wykroczenie przeciw ustawom i przepisom. O ile wywożenie kobiet z kraju stwarza tragedję, o tyle repatrjacja łatwo może zamienić się w smutną komedję. Bo można pomyśleć, że chodzi o pracę dla... dobra ojczyzny. Albo też niejednokrotnie droga do uczciwej pracy prowadzić będzie przez prostytucję, gdyż sprawa repatrjacji nie kończy się — według projektu — powrotem prostytutki do kraju, ale otrzymuje ona tu opiekę i — dla uchronienia jej przed ponownym nierządem — ma otrzymywać sumę wystarczającą na koszty utrzymania. Tak trudno dziś znaleźć pracę, któraby dała właśnie to utrzymanie, tak mało znaczy w poszukiwaniu zajęcia wykształcenie, kwalifikacje, nawet protekcja zawodzi, że... niejedna dziewczyna — w razie uchwalenia tego projektu — mogłaby pozazdrościć repatrjowanej prostytutce jej stałej pensji przy życiu zupełnie uczciwem.

W dalszym ciągu obrad poruszono sprawę angażowania artystek do lokali zabawowych za granicą. Artystki te podlegają często niebezpieczeństwom, zwłaszcza gdy zmusza się je do przebywania pośród publiczności i namawiania gości do konsumcji alkoholu.

Delegacja polska opracowała szereg wniosków, zdążających do tego, by związki zawodowe wszystkich krajów wprowadziły w umowach punkty, chroniące moralność artystek, oraz by zabroniły artystkom przebywania między publicznością.

Wreszcie załatwiono jednomyślnie kwestję emigracji kobiet samotnych w ten sposób, że poszczególne Komitety Narodowe postanowiły zapoznać swe rządy z stosowanem już w Polsce ograniczeniem, co do wyjazdów niepełnoletnich i samotnych emigrantek, nie mających dokładnego celu podróży. W związku zaś z licznemi zgłoszeniami żon emigrantów żydowskich, złączonych tylko ślubem rytualnym, delegacja polska wyjaśnia, iż w Polsce wydaje się im obecnie paszporty jedynie po zalegalizowaniu małżeństwa i przedstawieniu aktu złączenia.

Zgłoszono wielką ilość wniosków w poruszanych kwestjach, ale uchwały, które zapadły na kongresie — jak brzmi oficjalny komunikat — są wynikiem uzgodnienia rezolucyj poszczególnych Komitetów Narodowych i będą ogłoszone dopiero w sprawozdaniu z kongresu, a opracowane przez Międzynarodowe Biuro w Londynie. Wnioski zaś te, które wyrażają dezyderaty w stosunku do komisji doradczej Ligi Narodów, jak i będące postulatami w stosunku do rządów poszczególnych państw, będą przedmiotem rozważań zainteresowanych czynników.

ALICJA BRUN

WYSTAWA POLSKA W PARYŻU

LA POLOGNE ENTRE 1830—1930—1920

NIECAŁY MIESIĄC dzieli nas od otwarcia wystawy polskiej w Paryżu. Zwróciłem się więc po garść szczegółów do komisarza rządowego wystawy, p. Antoniego Potockiego, by móc podzielić się wiadomościami z czytelniczkami.

W pracowni swej przy bulwarze Montparnasse przyjął mnie bardzo mile znany literat i publicysta, inicjator i współtwórca wystawy polskiej w Paryżu.

Na zadane pytania przeze mnie co do terminu, gmachu, eksponatów, — pan Potocki uprzejmie odpowiedział, prowadząc mnie przed wykresy i plany, gęsto rozwieszone po ścianach jego gabinetu.

— Pozwoli pan, że przedewszystkiem skreślę w kilku słowach cel wystawy. Wystawa ta da plastyczny wyraz dziejowemu wysiłkowi twórczemu Polski, — oczywiście w skrócie syntetycznym tego wysiłku, w jego konkretyzacji tak bardzo wszechstronnej i różnorodnej.

Wystawa wykaże, że rola Polski w życiu Europy jest niewątpliwie czynna, a niejednokrotnie dzięki genjalnym jednostkom twórczym nawet kierownicza, że Polska toruje drogę ku zwycięstwu nowoczesnej koncepcji państwa na terenie stosunków międzynarodowych.

Wystawa powinna wykazać, jak dalece myli się zachód, sprowadzając w swojej opinji całą treść dziejową Polski do aktów męczeństwa, ofiary i bohaterstwa płonnego i, wprost przeciwnie — powinna dowieść, że w stuletnim okresie czasu szereg doniosłych wydarzeń chlubnie świadczy o twórczym wysiłku Polski we wszystkich dziedzinach bytu europejskiego, a zatem, że Polska jest czynnikiem międzynarodowym na całym obszarze stulecia o zbawiennej dla Europy roli i co wystawa w szeregu dokumentów i symbolów ma uprzytomnić.

Wystawa mieścić się będzie w gmachu Jeu de Pomme, w obrębie Tuilleries przylegającego z jednej strony do placu de la Concorde i z drugiej do ulicy Rivoli.

Gmach jest specjalnie dla tej wystawy odrestaurowany i obowiązkiem moim jest zaznaczyć, że dzięki panu Dezarrois, dyrektorowi Muzeum, wielkiemu przyjacielowi Polski, roboty tak szybko postąpiły, że w najbliższych dniach otrzymamy gmach do zupełnej naszej dyspozycji.

Budynek posiada duży vestibule i szereg dużych sal. Vestibule będzie salą honorową, w pierwszej zaś sali znajdą się dokumenty historyczne, oraz dzieła sztuki, mające związek z wojną polsko-rosyjską 1830—1831-go roku. Pokazany będzie obrazowo przebieg kampanji z ikonografją jej głównych postaci i refleksy wojny w życiu, opinji i sztuce zachodu.

Sala druga wskazywać będzie udział Polski w organizowaniu demokracji europejskiej, między 1830 a 1867, swemi dokumentami, portretami, obrazami, rzeźbami, sztychami, które świadczą o roli odegranej przez wodzów, pisarzy, artystów i muzyków polskich w historji Belgji, Francji, Niemiec, Węgier, Turcji, Włoch i t. d. Polska szerzy słowem i czynem na zachodzie ideały wolnościowe, przelewa swoją krew w obronie uciemiężonych ludzi Europy.

Trzecia sala poświęcona jest 1863-mu rokowi, którego charakter uzmysławiać będą kartony Grottgera, kompozycje Gierymskiego, Brandta, Matejki, Wyspiańskiego, Malczewskiego etc. Właściwe dzieje powstania ilustrowane będą mapami, sztychami itd.

Czwarta sala da pojęcie, jak żyła i pracowała Polonia Irredenta, sposobiąc się ku walce zbrojnej z wrogiem, w jaki sposób walka owa toczyła się i jak do zwycięstwa 1920-go roku doprowadziła, będąc już Polonia Restituta.

Wystawione będą dokumenty, mające związek z działalnością organizacyj tajnych, zobrazowana będzie epopea legjonowa, historja formacji wojskowych we Francji, Ameryce, Rosji, pokazane będą plastycznie boje stoczone z bolszewikami w obronie nietylko Polski, ale i samodzielności Europy. Przedstawiona będzie historyczna rola Marszałka Piłsudskiego, jako wskrzesiciela Polski, Budowniczego jej państwowości, jej zwycięskiego Wodza.

Następne sale zawierać będą materjały ilustrujące rezultaty wysiłku twórczego dokonanego przez kraj w ostatniem dziesięcioleciu polskiego bytu mocarstwowego i narodowego. Uwydatnione będą zdobycze pracy prowadzonej w dziedzinie administracyjnej, gospodarczej, społecznej, oświatowej, kulturalnej, artystycznej etc. Polska rozwija swój przemysł, buduje Gdynię, tworzy flotę, udoskonala szkolnictwo, opiekuje się dzieckiem, interesuje się sportami, odrestaurowuje zabytki sztuki, wydaje piękne książki, popiera zdobnictwo ludowe... Niema ani jednego bodaj terenu pracy, który nie dawałby możności wykazania, że Polska dzisiejsza jest państwem o pierwszorzędnem znaczeniu gospodarczem, cywilizacyjnem i kulturalnem.

Dorobek tego okresu czasu będzie uwydatniony przy pomocy tablic statystycznych, wykresów, fotografji, modeli, obrazów, rzeźb, grafiki i dzieł sztuki stosowanej (zdobnictwo ludowe w jaknajszerszej mierze).

Całość uzupełniona będzie zobrazowaniem życia emigracji polskiej we Francji, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Ameryce Południowej, zobrazowaniem świadczącem o tem, jak twórczym czynnikiem jest — w skali światowej — praca robotnika polskiego w fabryce i na roli innych krajów.

— A jak się przedstawia sprawa eksponatów?

— To najczulsza sprawa każdej wystawy oczywiście i naszej, bowiem wartość całej wystawy zależeć będzie nietylko od organizatorów, ale też i od zarządów miast, instytucyj społecznych, związków przemysłowych, stowarzyszeń, zrzeszeń i t. p. na których pomoc w postaci nadesłania eksponatów liczyć się ma prawo. Muszę jednakże przyznać, że nasze wszystkie placówki zagraniczne pracują bardzo intensywnie, począwszy od ambasady w Paryżu z jej zbiorami państwowemi i prywatnemi państwa Chłapowskich, oraz ambasady w Rzymie, poselstw w Belgji, na Węgrzech. Na specjalne wyróżnienie zasługuje p. Bela Koszanyi, dyrektor Archiwum państwowego w Budapeszcie, który specjalnie przyjeżdżał do Paryża i już nadesłał Grottgera i inne eksponaty bardzo cenne, również Bibljoteka polska i Muzeum Mickiewicza w Paryżu w osobach kustoszów pana Koczorowskiego i p. Monkiewiczówny poszli nam bardzo na rękę i oddali moc eksponatów. Bardzo dużo eksponatów przyrzekł nam dostarczyć pan minister Bertoni z wystaw polskich w Liège i Antwerpji. W kraju, jak mnie poimformował pan prof. Jastrzębowski, przyrzeczono nam bezcenne eksponaty i właśnie w tej sprawie wyjeżdżam w tych dniach do Warszawy.

— Niezależnie od tego Warsztat paryski złożony z samych polskich artystów wykonał mapę kolorową, plastyczną, wielkości 9 metrów kwadratowych i wykonywa cały szereg wykresów i planów. Mogę panu powiedzieć — mówi pan Potoci — że wszystko się robi, aby wystawa spełniła swój zamierzony cel i przypuszczam, że się nam to uda w stu procentach.

— Kiedy zostanie otwarta i jak długo trwać będzie?

— Ścisłej daty w tej chwili powiedzieć panu nie mogę, lecz zapewnić pana mogę, że napewno zostanie otwartą w połowie grudnia najpóźniej i trwać będzie sześć tygodni, może dłużej, gdyby się okazała tego potrzeba.

TADEUSZ ZBIGNIEW HANUSZ

PRZEGLĄD KSIĄŻEK

ALFRED KLABUND: „Car Piotr. Moreau. Borgia. Rasputin." Wydawnictwo „Roju" Warszawa 1930. Cztery epopeje zamknięte w kilkudziesięciu stronicach. Słowa skąpe a dosadne, tworzą obraz za obrazem takich rozmiarów, że rozsadzają swą treścią ramy słów. Kilkanaście określeń odtwarza epokę, kilka — charakteryzuje człowieka. Mnoży się zdanie po zdaniu, składające się z jednego słowa i kropki. Niemniej nieprzerwana ciągłość myśli i akcji, i pośpiech tłoczących się obrazów sprawia wrażenie, że powieść jest napisana bez przecinka i kropki. Ze jest raczej kalejdoskopem barwnych, nadzwyczaj efektownych scen, inscenizowanych przez genjalnego reżysera. Niektóre, są jak freski malowane na zbyt małej przestrzeni z rozmachem godnym Michała Anioła. To samo kłębowisko ciał i barw, uniesionych nagłym i nieprzepartym podmuchem idei. Bo idea pędzi wszystkich bohaterów Klabunda, od wzniosłości do zbrodni. Wszystko jedno jaka. Szaleństwo pracy Piotra Wielkiego, duma nadludzka Borgiów, umiłowanie wolności Moreau, czy wreszcie wiara we własne posłannictwo, rosyjskiego chłopa Rasputina. Wszyscy są z jednej rodziny, jakichś praludzi, pamiętających swój niedawny związek z ciemnemi siłami natury. Krew przelewa się zbyt bujnie w ich żyłach. Szafują więc hojnie swoją własną i cudzą. Są okrutni, bo muszą panować nad światem, są porywający, bohaterscy i tak wspaniali, że aż zmuszają do zastanowienia, czy narzucili autorowi swoją sugestywną wielkość — czy też przeciwnie. Może indywidualność autora wydobyła te wielkie (bezsprzecznie) postacie z zapomnienia historji i urobiła z nich siłą swej imaginacji, niepokojących tytanów. W każdym razie bliskie pokrewieństwo tych wszystkich sylwetek historycznych, stawia prawdę biograficzną powieści Klabunda — pod znakiem zapytania. Wrażenie powieści określiłabym jako fascynujące. Język naogół dobry, w przekładzie Napierskiego piękny.

J. O.

CZEM INTERESUJĄ SIĘ AMERYKANKI?

SPOŁECZEŃSTWO amerykańskie jest w wysokim stopniu religijne. Pisząc to, mam na myśli Stany Zjednoczone jako całość i tego stanu rzeczy nie zmieni fakt, że w dużych miastach o silnym nalocie międzynarodowym, jak Nowy York i Chicago, można znaleźć wiele religijnego indyferentyzmu. Ta religijność, wyciskająca swe piętno na całem życiu amerykańskiem, jest czemś specyficznie tamtejszem i różni się wiele od religijności np. polskiej.

Rodzaj religijności amerykańskiej wypływa nietylko z odmiennych cech rasowych tamtego społeczeństwa, ale jest również wynikiem historycznych warunków, w jakich Stany Zjednoczone powstawały i rosły. Wschodnie wybrzeże Stanów, w szczególności na północ od Wirdżinji, kolonizowali swego czasu wyznawcy angielskich sekt protestanckich, którzy opuszczali kraj rodzinny, uciekając przed religijnym uciskiem. Purytanie, zwący siebie „Pielgrzymami" i Kwakrzy, dążyli do nowej ziemi i zakładali w niej swe gminy, grupując się na zasadzie przynależności do sekty. Nic dziwnego, że dla nich i dla ich potomstwa, w kraju młodym, pozbawionym na razie jakichkolwiek instytucyj kulturalnych, przynależność do sekty i czynny udział w życiu swej kongregacji religijnej, były obok zaspokojenia potrzeb duchowych, jednocześnie też i namiastką nietylko tych brakujących instytucyj kulturalnych, ale nawet ugrupowań politycznych i instytucyj samorządowych. Ten układ stosunków przetrwał do dzisiejszych czasów tylko szczątkowo, w nielicznych drobnych gminach sekciarskich; wycisnął on jednak swe piętno na dzisiejszych stosunkach amerykańskich, o czem świadczą chociażby liczne bogate uniwersytety, bibljoteki i inne instytucje kulturalne, stojące pod kontrolą i wpływem poszczególnych sekt religijnych.

Sekciarstwo jest charakterystyczną cechą życia religijnego w Stanach Zjednoczonych. Na terytorjum tego kraju istnieje około dwieście rozmaitych chrześcijańskich organizacyj religijnych. Kościół katolicki, któremu przeciwstawiają się wszystkie wyznania reformowane, jest organizacją najsilniejszą, liczącą około 16.000 bardzo licznych kongregacyj, odpowiadających naszym parafjom; na życie kraju nie ma on jednak wpływu proporcjonalnego do swej liczebności, co tłumaczy się tem, że dużą część amerykańskich katolików stanowią ubogie rzesze emigrantów. Olbrzymią resztę tej ilości stanowią najrozmaitsze sekty protestanckie. W pewnych terytorjach poszczególne sekty przeważają liczebnie nad innemi, jednak konieczny ruch ludności bardzo już dawno rozbił spoiste gminy sekciarskie i trudno dziś znaleźć najmniejsze miasteczko, któreby nie liczyło kilku kościołów różnych sekt, a okręgi wiejskie jednolite co do wyznania, też zaczynają być rzadkością. W Pensylwanji, która pod względem sekciarskiego zróżniczkowania przewyższa inne stany, miasto liczące 50.000 mieszkańców miało w roku 1914-tym 67 kościołów, trzydziestu kilku chrześcijańskich wyznań. Miasto to (York), jest pierwszym z brzegu przykładem. W Chicago ma być obecnie około tysiąc świątyń protestanckich. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że każda kongregacja musi zbudować i utrzymać swój kościół z dobrowolnego opodatkowania i że niektóre kongregacje liczą zaledwie po stu członków, to przyznać musimy, że zarówno religijność, jak separatyzm sekciarski, są w duszy Amerykanina głęboko zakorzenione.

W tem rozdrobnieniu się religijnych kongregacyj, zakładających rywalizujące z sobą kościoły nietylko różnych wyznań, ale nawet tej samej sekty, dopatrzeć się można także motywów egoistycznych i utylitarnych. Do rzędu motywów egoistycznych należy ekskluzywność towarzyska i snobizm, które każą nawet dla oddawania czci Bogu — łączyć się tylko z ludźmi swojej sfery towarzyskiej. Czynny udział w kongregacjach religijnych jest rzeczą dobrze widzianą w Ameryce. Dla businessmana stanowi on często rodzaj „referencji", świadczącej na jego korzyść. Dlatego też niejeden człowiek, ze względów czysto utylitarnych, aby móc zostać członkiem zarządu kongregacji religijnej, zakłada nową, konkurencyjną dla istniejących.

Na prowincji ogromna ilość kościołów protestanckich istnieje siłą faktu. Zbudowane w czasie, gdy braki komunikacji czyniły z nich ośrodek życia okolicy, istnieją dziś jeszcze, jakkolwiek dzięki lepszym drogom i rozpowszechnieniu się automobilizmu znaczna część dawnych parafjan zaczęła grawitować ku bardziej odległym, ale większym miastom. Faktem jest, że Stany Zjednoczone nie od dziś odczuwają nadmiar świątyń i nadmiar sekt protestanckich.

Bo dwieście tysięcy budynków kościelnych, choć przeważnie skromnych, często drewnianych, reprezentuje włożony kapitał trzech biljonów, oraz coroczny wydatek trzystu miljonów dolarów. Nawet bogate społeczeństwo amerykańskie nie jest w stanie ponosić tak wielkiego ciężaru, skutkiem czego życie religijne Ameryki poważnie cierpi. Wskutek rozdrobnienia się kongregacyj przeciętne wynagrodzenie duchownego protestanckiego w Stanach Zjednoczonych wynosi obecnie około 800 dol. rocznie. Jest to kwota niższa od zarobków średniego robotnika i o wiele za mała dla człowieka z rodziną, od którego wymaga się, aby podtrzymywał prestige swego stanowiska. W rezultacie zaczyna być coraz trudniej znaleźć kandydatów na opróżniające się stanowiska.

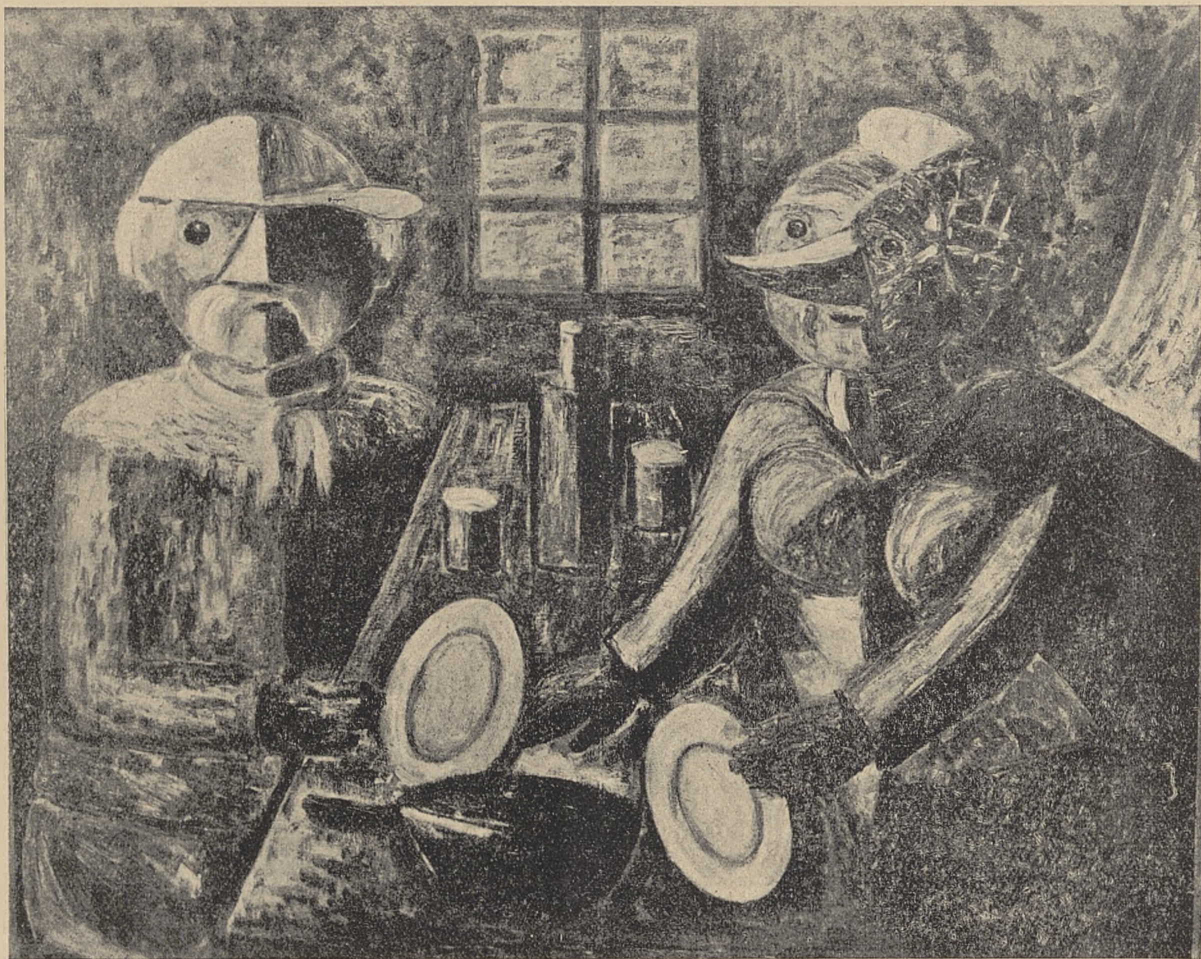
Coraz więcej mówi się więc o konieczności łączenia w większe jednostki nietylko kongregacyj w łonie jednej sekty, ale nawet sekt o pokrewnyeh poglądach teologicznych. Dotychczas do takiego połączenia nie doszło, ale konferencje, przedsiębrane w tym duchu, wykazują coraz to więcej dobrej woli. Być może, że niedaleka przyszłość przyniesie poważną redukcję w ilości niezależnych sekt w Ameryce.

Że życie religijne kraju obchodzi kobiety równie blisko, jak mężczyzn, i że kwestje ewentualnej fuzji pokrewnych sekt są omawiane na łamach kobiecych czasopism w Ameryce, to naturalne, ale nieoczekiwane jest to, że dzisiejszy stan rzeczy stwarza dla kobiet amerykańskich zainteresowania zawodowe w tej dziedzinie. Wynagrodzenie niewystarczające dla mężczyzny z rodziną, może być ponętnem dla samotnej kobiety. To też w tych sektach, które pozwalają kobietom pełnić obowiązki duchownego, kobiety coraz liczniej pojawiają się na stanowiskach pastorów, jak sądzić można — ku zadowoleniu swych kongregacyj.

WANDA RICHARD

BYŁ SOBIE DZIAD I BABA

NOWA BAJKA NA TEMAT OBRAZU TADEUSZA MAKOWSKIEGO, WYSTAWIONEGO W GALERJI MIZOMESNIL



Le repas 1929 TADEUSZ MAKOWSKI

BYŁ sobie Dziad i Baba... Niewiadomo, jak starzy oboje... Na twarzach ich życie wypisało wiele rzeczy... Prócz śladów wieku.

Dziad wyglądał, jak pień drewniany z czasów, gdy z pnia robiono ule. Nogi i ręce jego łamały się na części, jak te pajacyki, co się kupuje na rue Bonaparte.

Głowę miał, niby wielki bochen chleba, któremu nadaje się okrągłość, z ręki do ręki go przerzucając. Oczy miał bez brwi, bez powiek, bez rzęs — tylko ciemno szafirowe kule, ale wymowne, i tak na ciebie przenikliwie patrzące, że zlękniesz się ich, jeśli masz coś niedobrego na sumieniu. Ale uśmiechać się będziesz do ich spojrzenia, jeśli jesteś czysta i przezroczysta...

Wąsy miał białe i tak sumiaste, jakich żaden sum nie ma. Lecz jakie zawsze miewają wszyscy dobrzy, starzy ludzie. Twój kochany dziadek i król Jan Sobieski i Clémenceau.

Na niespodziane tułów z głową łączącej szyi, dla większego do ludzi podobieństwa miał zawieszony niebieski, lniany sznureczek — tak niebieski i tak właśnie blady jak oczka lnu.

Baba nic ludzkiego w sobie nie miała. Była nito Baba-Jaga, nito Baba-Jędza. Pewno zwykła baba z bajki jeszcze nienapisanej.

Nogi jej nie były, jak mała bronzowa stopka wielkiej Rachel, wystawiona u Charpentier, wieńcem romantycznych róż okolona...

Baba nos miała straszny. Nito dziób ptaka, nito gasidło, którem stary zakrystjan gasi świece w wiejskim kościele. Pewno nowy kaprys Makowskiego...

Nie podobał się on Dziadowi.

Dziad zawsze okrakiem siedzi na ławie, by nie widzieć żony. Patrzy na mnie, na ciebie, na panienki przy kasie, nawet na właściciela galerji, który każdemu wchodzącemu objaśnia, że sztuka nie ma naśladować życia... Jakbyśmy bez niego tego nie wiedzieli... Który tłomaczy, że obraz jest transpozycją życia... Jakgdyby prawdziwy artysta w ramę kładł coś innego, aniżeli własną, piękną duszę...

Był sobie Dziad i Baba... Mieli chatkę maleńką... Całą pozłacanem drzewem wykładaną...

Nie przychodził jednak do izby ziarno po podłodze dziobać czerwony kogucik z innych obrazów... Mało co od dzieci większy... Nie śmiało przychodzić słońce, rozkładać swych promieni na tęczę pawich piór...

Baba się im też nie podobała...

Na stole stały małe pienki chleba i sztorcem stały talerze. Spokojnie i bezpiecznie, jakby schły w suszarce. Bez której żadne się modne nie obędzie gospodarstwo...

Dzieci nie mieli. Bo to nie ich pocieszki — straszydełka poszły do szkoły. Kazano im iść do szkoły — dzieciom w ciemno-anielski błękit przebranym — choć za niemi morze jest i żagiel w mgłę rozpięty... Choć innym dzieciom wolno, na buzie powkładawszy maski, jazze urządzać i zabawy, tego czerwonego kogutka karmić i słońcu się cieszyć...

Dziad i Baba żadnych dzieci nie mieli... Żyli tak wieki, nie patrząc na siebie i chleba, choć wysechł, nie jedli, i talerzy, aby nie upadły, nie dotykali...

Jak długo żyć będą i kto pierszy umrze?

Nigdy się nie dowiem.

Na dole obrazu jest kartka — VENDU.

A. W.

CMENTARZ PSÓW

W MIARĘ ubytku ludności mnożą się we Francji psy i koty. Przedewszystkiem koty. Paryż jest ich stolicą. Na każdego obywatela przypadają dwa, na każdą starą pannę dwanaście. Posiadają swe tradycje, obyczaje, demokrację i waleczną armię kołtuniastych kocurów, bezpańskich myśliwców, żyjących niewiedzieć z czego i niewiedzieć gdzie. Napełniają noce miłosnem skomleniem i bojowemi okrzykami, przed świtem zbierają się na opustoszałych ulicach dokoła kubłów ze śmieciami, liżą powykręcane łapy, drapią potargane uszy i pokrzywiają się do księżyca. O tej samej porze na koronkowych poduszkach, pod puchowemi kołdrami ziewają rozespane w czułem objęciu arystokratyczne eunuchy, rasowe dziwolągi, wyczesane i pachnące pokraki z Angory i Sjamu. W biurkach i sekretarzykach żółknieją ich rodowody, skomplikowane drzewa genealogiczne, długie kolumny nagrodzonych medalami przodków, tresowanych kuzynów, komentarze i koligacje. Przypada im w udziale cała tkliwość nigdy niewypowiedziana i gorące pocałunki, których ludzie nie chcą. Podczas, gdy bezdomna hołota mnoży się i zdycha pod gwiazdami, szczęśliwym wybrańcom losu przysługują wszystkie prawa i swobody. Siadają właścicielkom na ramionach i na głowie, jedzą ze wspólnego talerza, drzemią na obrusach i w koszyku na chleb. By nie obrazić pani, trzeba się o nie troszczyć i informować; należy umieć wszystkie imiona napamięć, znać ich cechy indywidualne i ważniejsze wypadki z ich przeszłości. Lecz nie należy ich dotykać. Pani jest zazdrosna. Pieści je z pewnem zażenowaniem, przeprasza, całuje po nosie i łapach, mówi im zdrobniałe słowa wyznania. Pani przyznaje się otwarcie, że — gdy ich nie stanie — straci w smutnem życiu ostatnie istoty, w których spojrzeniu wyczytała przywiązanie i trochę dobroci dla siebie.

Wolałbym nie pisać o żałosnych chwilach, gdy nieuniknioną losów koleją, zdechnie jeden z umiłowanych. Słońce straci cały blask, życie cały sens. Po ostatecznem stwierdzeniu śmierci przez domowego lekarza i siostrzeńca studenta medycyny, obłożony kwiatkami i wilgotny od łez zostanie zamknięty w kartonowem pudełku i obwiązany sznurkiem. Orszak żałobny wyruszy popołudniu. Pani ma oczy zaczerwienione i przyciska skrzynkę do siersi. Jeśli jest przytem dzień wietrzny i jesienny, nabiera wszystko niewysłowionego smętku.

Wyjdziemy z miasta jedną z bram północno-zachodnich. Na miejscu dawnych fortyfikacji wznoszą się dziś kwadratowe, brzydkie gmachy, kanciaste klatki, przyparte o siebie nierównemi bokami. Gdzieniegdzie urywa się ulica chropawą, bezokienną ścianą. U jej stóp wolny teren, trochę gruzu, rozsypanych cegieł, parę metrów ziemi obrosłej rzadką trawą. I znów ulice, omurowane, oblepione plakatami, nieporządne, rue de la Révolte, Victor Hugo, Jean Jaurès. Zmieszamy się z tłumem robotników, dziewczyn, krzykliwej biedoty, potrącającej się łokciami, ziejącej taniem winem i złym tytoniem. Pozwolimy się unieść tej fali w wązkiem korycie czteropiętrowych kamienic, bazarów rozkładających swe bogactwa na środek chodnika, brudnych knajp, podejrzanych kabaretów, wyszklonych fabryk i warsztatów. W zamęcie i ścisku niezgrabny, zielony tramwaj zagradza drogę prześcigującym się pyskatym cyklistom w buraczkowych trykotach, bezczelnym motocyklistom, szukającym miejsca, by przeszyć się przez to całe tałatajstwo reprezentantów, dostawców i rozwozicieli z wielkich dzielnic Levallois, Courcelles, Clichy i Asnières. Rozwidni się nagle. Wyprowadzą nas ulice ku wielkiej przestrzeni powietrza, dymów i nieba. W dole płynie Sekwana, wielkim łukiem obejmując Boulogne i Neuilly. Cuchnący, czarno-czerwony parowiec wlecze na stalowej linie brzuchate statki, zanurzone po burty w żółtej wodzie. Na obu krańcach mgła. Z jednej strony majaczy siny Mont Valérien; pójdziemy na prawo —



Nad wodą spoczywa psia i kocia biedota...

ku wyspie. Łączy ją z obu wybrzeżami dwuramienny most; pośrodku parę budynków, składownia zardzewiałego żelaziwa i tynkowana, trójwejściowa brama, podobna do wszystkich bram cmentarnych. Na głównym łuku napis: „Cmentarz psów". W małym domku rudy stróż — grabarz wygrywa na gramofonie melodje niedostosowane do powagi miejsca. Przywita nas tym uprzejmym ukłonem stróżów cmentarnych, bez uśmiechu i życzliwości — i uzbrojony w łopatę powiedzie nas w głąb.



Fragment z cmentarza psów

Cmentarz na wyspie w Asnières przeznaczony był początkowo wyłącznie dla psów. Pod naciskiem opinji publicznej i na żądanie kilkunastu wpływowych organizacyj pozwoliła dyrekcja grzebać na nim również papugi, kanarki i koty. Dziś cmentarz okazuje się za małym i w najbliższych czasach ma powstać szereg no-

wych, w rozmaitych punktach najbliższych okolic Paryża. Ponieważ większość grobów jest t. zw. „koncesją po wieczne czasy”, a koty francuskie, w odróżnieniu od ich właścicielek, odznaczają się nieprawdopodobną płodnością, należy się obawiać, że miasto zostanie otoczone niebawem wciąż rosnącym pierścieniem psich i kocich cmentarzy, po Trembley, Saint Maur i Wersal.

Obecny cmentarz niczem nie różni się od wszystkich innych. Te same grobowce, znaki, ławka pod brzozą, płyty obrosłe bluszczem, aleje wysypane żwirem, ścieżki wśród mogił. Mimowoli zdejmujemy kapelusze i mówimy szeptem. Łagodnym stokiem kłoni się wyspa ku wodzie. Górną część poświęcono arystokracji, bohaterom i bogaczom. Uderza nas przepych pomników, marmury, rzeźba i złocenia. Troskliwe ręce zostawiły świeże wianki, bukieciki nieśmiertelników. W zgodzie i nieuwadze leży pies z kotem, obok kota kanarek. Co za melancholja! Ile boleści kryją te kamienie nieobeschłe od łez: Oto grób kota Henryka de Rochefort, który zdechł z żałości w dziesięć dni po śmierci swego pana. Tuż obok, pod granitowym głazem „Boum”. „Ci gît mon cher Boum...” Nie dowiemy się nigdy, czy był psem czy kotem i co mu świat zawdzięcza. Pod wspólną mogiłą spoczywają Tac, Tic, Paff i Piff, wzniosła im ich „maitresse inconsolable”. „Juliette” kazała wyryć na czarnym cokole: „he loved only me...” lub może: „he alone loved me...” Słowa miłości, żalu i tęsknoty nabierają tu dopiero pełnego znaczenia. Odkąd zwiedziłem te miejsca żałobne, ludzkie zwierzenia i wyznania wydają mi się tylko powtarzaniem, nieudolnem recytowaniem napisów z cmentarza w Asnières. Nauczycielki dbałe o dobro uczenic powinny tu wieść podrastające panienki, by uczyły się zawczasu wypowiadać to, co dla niejednej z nich może pozostać wieczną, smutną tajemnicą. Na psim cmentarzu spostrzegamy całą naszą nędzę; kłonimy głowę i cisną się nam łzy do oczu. W kartonowem pudełku pod ciężkim kamieniem, obwiązane wyblakłą wstążeczką leży biedne serce staropanieńskie, otulone troskliwie wszystkiem, co ludzie odepchnęli, na co nikt nie chciał spojrzeć.

Na dole nad wodą, w równych rzędach, bez złoceń i pomników spoczywa psia i kocia biedota w mogiłach nędzarzy. Wiatr dmie wilgocią i dymem fabryk z Clichy. Ścieżki porosły trawą i chwastami, deszczułki z numerami chylą się ku ziemi. Nikt tu nie przychodzi, nie zostawia wieńców ani bukiecików nieśmiertelników. Wzruszył się dobry człowiek nad dolą parszywego, zagłodzonego kundla, wyczytał w jego gasnących oczach swe własne umęczenie, dobił go z litości i zakopał na tym niczyim kawałku. by sobie choć teraz spoczął niespędzony, zanim nie zastąpią go inne wywłoki, spragnione długiego snu.

Tkwi w tem jeszcze wiele niedociągnięć i niesprawiedliwości. Możnaby nawet posądzić, że cmentarz w Asnières jest nietyle wyrazem naszego miłowania, ile przedsiębiorstwem wykorzystującem nasze roztkliwienia i histerje; że budujemy na nim pomniki własnym rojeniom; że każdy z nas chciałby być tym wycałowanym pekińczykiem pod czyjąś kołdrą na koronkowych poduszkach, że każdy z nas jest takim kotem Henryka de Rochefort, który zdycha z żałości po samym sobie. Mówią napastliwi ludzie, że towarzystwa ochrony zwierząt są przedewszystkiem towarzystwami naszych własnych interesów, że szanujemy konia, by go móc lepiej wykorzystywać, że nie pozwalamy naszym dzieciom obrywać muchom nogi i głowy z obawy, by nie zabrały się do nas, gdy wyrosną. Udowadniają, że katujemy jelenia na polowaniach, że gruchocemy w żelazach członki lisom i jastrzębiom, że krajemy żywcem ryby, że gotujemy we wrzącej wodzie homary i raki, że bez najmniejszego dreszczu pozwalamy ginąć w najstraszliwszych torturach muchom i komarom przyklejonym do barbarzyńskich taśm papieru. Tłumaczą nam, że te wszystkie jelenie, lisy, jastrzębie, ryby, homary i muchy mają takie samo jedno, jedyne życie jak i my, że mają tę samę ochotę bytu i szczęścia.



Fragment z cmentarza psów

Otóż niosę pocieszającą nowinę; wszystko zdaje się być na najlepszej drodze. Nikt nie zaprzeczy, że zbliża się chwila odrodzenia ducha ludzkości. Należy tylko głębiej rzeczy pojmować. Cmentarz w Asnières jest drogowskazem, symbolem. Organizujmy nowe, obszerniejsze. Pogrzebiemy na nich „Marjannę”, tańczącego słonia w cyrku Frauenbocka, ostatnią szkapę, która zdechnie pod plecionym batem dorożkarskim, cielę ugodzone ostrym nożem rzeźnika, muchę z oberwanemi skrzydłami i pchłę rozgniecioną na poduszce. Zbliża się wielka era litości. Po ostatecznem utrwaleniu mi-



Fragment z cmentarza psów

łości bliźniego, rozszerzy człowiek swe miłowanie na wszystko, co żyje i cierpi. W słońcu i radości trwać będziemy, niby stado łagodne, szczypiąc trawę i błogosławiąc się nawzajem.

Paryż, wrzesień 1930 ZYGMUNT LITYŃSKI

NA PRERJACH KANADY

2)

Ale już w prażącem słońcu prerji, w wysiłku walki zaczynają omdlewać naprężone nerwy zapaśników. Biała piana pokrywa pysk byka i purpurowe fale krwi coraz częściej przesłaniają mu wzrok. Coraz słabiej ciężkie rogi przecinają powietrze, coraz łatwiej wymknąć się z nich przeciwnikowi, coraz boleśniej rażą uderzenia biczem — i wreszcie zesłabłe, ogłupiałe, zwyciężone zwierzę z głuchym rykiem zawraca w prerję. Za niem rusza cowboy. Koń kładzie mu się niemal na ziemi w galopie, czerwona chustka rozwiewa się na ramionach, z pod wielkich skrzydeł sombrero'a migają wargi blade od wysiłku i ściągnięte brwi — hej, prawdziwie śpiewa o nim piosenka:

Piękny jest cowboy i młody,
Cowboy jest odważny i dumny
I nie dba o czerwoną wstążkę,
Ale szuka ust dziewczyny.

Niezawsze jednak pogoń za bykiem kończy się zwycięstwem człowieka. Czasem koń odskoczy za późno, czasem byk przypadnie zbyt szybko i tu, w ciszy i pustce zielonego stepu cowboy ginie pod rogami niemniej młodo i dumnie, jak torreador lub piccadorzy w tysiącach oczu odbici, na hiszpańskiej, złotym piaskiem wysłanej arenie.

2

Ale to jest prerja dni dawniejszych.

Bo, jak znikli Indjanie, jak znikają tabuny dzikich koni i bawołów, tak i cowboye usuwają się już ze stepów.

Kraj staje się osiadły. W miarę, jak przybywa osadników i farmy zbliżają się ku sobie, wielkie „ranche" upadają, bo każdy farmer trzyma swoje stado. Łany pszenicy jak powódź, zalewają coraz rozleglejsze przestrzenie preryj, a z niemi i jasna zieloność łąk zmienia się na jednostajną, głęboką zieleń wzrastającego zboża.

Wśród łanów od czasu do czasu farmy rysują się na horyzoncie grupkami zabudowań, wśród których żółknieje, lub czerwieni się dach domu mieszkalnego, otoczony ciemnemi koronami drzew owocowych, z jakimże trudem na wiatrach prerjowych wyhodowanych! Nad wszystkiem, niby jakiś opiekuńczy chrząszcz, kręci się druciane koło charakterystycznego wiatraku, który ciągnie wodę ze studni.

Za farmą — przyszła na prerje kolej. Na wielu linjach jest to zdobycz ostatnich lat kilkunastu. Szyny poprowadzono przez stare szlaki indyjskie, więc, jak wszystkie drogi stepowe, biegną one milami bez najmniejszego zakrętu, zbiegając się gdzieś hen, w perspektywie.

W zakładaniu szlaków kolejowych rywalizują ze sobą zacięcie dwa wielkie towarzystwa komunikacyjne: Canadian Pacific Co. i Canadian National Co., krótko zwane C. P. i C. N. Pocięły one już prerję w wielu kierunkach, zapewniając wielu okolicom główny warunek rozwoju. Na pewnych linjach rywalizujące tory biegną równolegle w odległości kilkudziesięciu lub nawet kilkunastu metrów od siebie, na innych stanowią jedyną arterję komunikacyjną. Tak np. dojazd do Gór Skalistych i dalej do wybrzeża Pacyfiku możliwy jest tylko w dwu punktach: przez Jasper na płn., do którego dochodzi CN. i znacznie na płd. od niego przez Banff, należący do CP.; obie spółki utrzymują w tych pięknych ośrodkach turystycznych także swoje ogromne hotele.

Wzdłuż traktów kolejowych, w pobliżu małych stacyjek, rzucają się w oczy wysokie, graniaste budynki, zbudowane bardzo szczelnie z blachy koloru stali lub cynobru, poznaczone czarnemi literami napisów i liczb porządkowych, a tak charakterystyczne, że obok bawołu powinny wejść do herbu tego kraju. Są to „grain elevators", spichrze zbożowe, należące do organizacyj okolicznych farmerów, którzy przechowują w nich nadmiar zboża z lat plennych na lata nieurodzaju i zapewniając w ten sposób równowagę produkcji, chronią się przed spekulacją. Zboże przesypuje się wprost do wagonów przez długą członkowaną rurę, która jak żądło zwiesza się z przedniej ściany elewatora. Te spichrze to symbol olbrzymiej pracy rolniczej dzisiejszej prerji.

Przy traktach kolejowych, tuż za małemi stacyjkami gnieżdżą się miasteczka stepowe. Jedna błotnista ulica wzdłuż i druga wpoprzek — oto miasto. Dwa budynki posiada ono zawsze: położony nieco w bok od stacji i najpierw rzucający się w oczy „General Store", „sklep towarów mieszanych" w drewnianym domku, zalepionym staremi ogłoszeniami, do którego wchodzi się po schodkach — i piętrowy hotel, pierwszy budynek na głównej ulicy, zawsze z krzywym napisem i zawsze Royal, albo King George. W każdem też miasteczku znajduje się kościółek jakiegoś wyznania, świecący taniemi witrażami i — kino. Jeden i drugi obłocony samochód telepie się po ulicy, chociaż bowiem na prerji niema bitych gościńców i po deszczu drogi rozmakają w jedno bagno, samochód pokazuje się tu coraz częściej i coraz częściej w krajobraz płaskiej zieloności wkrada się czarne pudło karoserji, sunące po niewidzialnej drodze nad trawami.

Ma już jednak prerja swoje wielkie miasta. A więc Winnipeg, kwitnąca stolica Manitoby w sercu preryj, siedziba największej, obok Chicago, giełdy zbożowej świata, ze swoim uniwersytetem i monumentalnym nowym gmachem parlamentu manitobańskiego, ze swojemi ulicami prywatnych domów ocienionemi bukietami drzew, ze swojem business ceuter, w którym króluje gmach najstarszej w Kanadzie pionierskiej spółki handlowej „Hudson Bay Company" i ze stepowym zwierzyńcem utopionym w kwiatach. A więc szeroko nad rzeką rozłożony Sasketoon i północny Edmonton ze słynną Akademją rolniczą i dumna ze swego pięknego uniwersytetu, fabryczna Regina i Calgary, „miasto u podnóża" Gór Skalistych, pełne will i gromadzące bogactwa niedawno odkrytych źródeł nafty i kopalni węgla w płd. Albercie.

Jeżeli francuskie prowincje z okolic Quebec'u, sięgające wpływami po Montreal a nawet Toronto, stanowią jedną część duszy tego Dominjum, to drugą, daleko większą i silniejszą stanowi Kanada, prerjowa, rolnicza, anglosaska (anglosaska ze względu na dawną kulturę i język, bo imigracja zmieszała tu wszystkie plemiona germańskie i słowiańskie Europy). I chociaż macki kapitalistycznego molocha Stanów Zjednoczonych wyciągają się nad tym krajem coraz potężniej, to jednak zasadnicze rysy w charakterze jego ludzi rzeźbi duch tej właśnie Kanady rolniczej. Rysy te czynią Kanadyjczyków bliskimi Europejczykom i pozwalają przyszłej Kanadzie wróżyć rolę pośredniczki między Stanami Zjednoczonemi a Europą.

3

W niedzielne popołudnia stacyjki prerjowe zaludniają się tłumem ludzi, którzy czekają na przyjeżdżający pociąg. Nikt do nich nie zjeżdża, ani oni nigdzie nie jadą; przyszli, aby spotkać znajomych z osady i pogadać i aby popatrzeć na podróżnych, przybywających z dalekich stron. Stoją więc i rozmawiają, założywszy ręce na piersiach, chłopy jeden w drugiego na schwał, bardzo wysocy, rozrośli jak dęby, opaleni od wiatru i słońca, o twarzach łagodnych i roześmianych. Uderza w tym tłumie znikoma ilość kobiet. Kanada należy do tych nielicznych krajów, gdzie przeważają mężczyźni, nie w miastach jednak, ale na prerji. Zresztą na całym olbrzymim kontynencie Kanady jest zaledwie 9 miljonów ludności. W pracy gospodarskiej na farmach kobiety są bardzo oszczędzane; należą do nich tylko najściślej domowe zajęcia. Nawet takie czynności jak dojenie krów spełniają mężczyźni. Kanadyjskie kobiety z inteligencji wyróżniają się urodą, szykiem i dystynkcją. Takich wdzięcznych sylwetek kobiecych i takich pięknych twarzy, jakie spotkać można na ulicach prerjowych miast kanadyjskich pozazdrościłoby im niejedno stołeczne miasto europejskie.

Farmerzy pracują na roli sami z pomocą najętego robotnika, maszyn rolniczych, traktora i koni. Jakkolwiek trudno im o gotówkę, pędzą jednak naogół dostatnie życie. W swoich samotnych domach stepowych utrzymują farmerzy, zwłaszcza bogatsi, znaczny stopień kultury dzięki radju, bibljotekom domowym, a także życiu towarzyskiemu. Ogółem biorąc, na skutek ustawicznego kontaktu z Anglją, wciąż świeżej imigracji, a nadewszystko ofiarnego udziału, jaki Kanada wzięła w wojnie światowej, przeciętny Kanadyjczyk wie więcej o starym świecie i jego sprawach, niż przeciętny mieszkaniec Stanów.

Wesoły jest lud stepowy i skłonny do zabawy zarówno, jak do pracy. Ale nadewszystko cechuje go uczciwość i nadzwyczajna, szczera, prawdziwie kanadyjska gościnność; dochodzi ona do tego, że jadąc kolejami przez prerje i nie znając tam nikogo, można otrzymać kilkanaście zaproszeń na farmy do ludzi, których się widzi po raz pierwszy w życiu, zaproszeń ofiarowanych najpoważniej, w sposób tak serdeczny i przyjacielski, że odmawiać przykro i niezręcznie.

Ludzie ci kochają swoje prerje. Opowiadano mi o niejednym farmerze, który znęcony widokami lepszego powodzenia przenosił się do miasta, ale po kilku latach rzucał wszystko i wracał na prerje, aby na nowo rozpocząć gospodarkę i — aby odnaleźć tam swoich synów-wyrostków, którzy mu tymczasem pouciekali z miasta i rozpoczęli na własną rękę cowboy'ski żywot na rodzinnym stepie.

— — — — — — — — — — — — — — —

Prerja ma czar — czar przestrzeni, wolności, natury i przykuwa nim duszę człowieka. Ma także — czar piękna.

Niezapomniane są letnie zachody słońca na prerji. Słońce zatrzymuje się dość wysoko nad horyzontem, rozpłomienione, ale już jakby na skrzydłach mroku, który z za niego zaczyna wypełzać. Ostatnie promienie snują się po krzakach, zsuwają coraz niżej, wślizgują w trawy i prześwietlają je blaskiem. Każde źdźbło staje się widoczne i każde zaczyna błyszczeć odrębną barwą. Po stepie płyną smugi jakby pociemniałej tęczy. Zieloność stopniowo zaczyna czerwienieć, fiolet jak pajęczyna sennie rozsnuwa się po krzakach; jeszcze tylko pieńki drobnych brzózek świecą jak laski srebra, a powiędniałe źdźbła wychodzą z cienia i nabierają barw bronzu. Aż wreszcie pomiędzy trawy i liście poczyna się wsączać liljowe światło; w ślad za niem przychodzi cień nieznacznie, powoli, łagodnie. Zmrok zupełny zapada w pełni lata na prerji koło jedenastej; wkrótce jednak zorza polarna występuje na niebo i świeci bladą smugą zielonego światła przez krótką, letnią noc aż do poranku.

M. PATKANIOWSKA

ANNA SEVERN I FIELDINGOWIE

Z ang. przełożył Czesław Jastrzębiec-Kozłowski Powieść, 31 Copyright Agence Littéraire Internationale, Paris

— Bezwzględnie. Wbiłaś sobie w głowę, że Madzia jest jak ty, że podobnie przejmuje się wszystkiem; ale tak nie jest. Nie odczuwa, jak ty odczuwasz. Nie zaboli jej to, jakby zabolało ciebie, jeślibym miał cię opuścić dla innej kobiety.

— Jednakże... zaboli ją.

— To już lepsze, niż w dalszym ciągu oszukiwać ją aż do pory, gdy sama przejrzy. Oto, co zabolałoby ją strasznie. Znienawidziłaby nas za naszą obłudę. O ile zaś wyznamy jej prawdę, zrozumie. Nie wątpię, że zrozumie i wybaczy tobie. Nie weźmie ci za złe twej miłości do mnie.

— Nawet jeżeli sama nie kocha?

— Kocha ciebie, — rzekł.

Nie mogła się pozbyć owej natrętnej pewności, której Jerrold nie podzielał. Jeśli Madzia go kocha, Jerrold tego nie widzi. Nigdy nie widział rzeczy, które mu nie dogadzały.

— A jeśli ona właśnie kocha cię zawsze? Skąd wiesz, że nie?

— Trudno mi o tem mówić.

— Ale ja muszę wiedzieć, Jerroldzie. To dla mnie ogromna różnica.

— Dla mnie żadna, Aniu. Pragnąłbym ciebie bez względu na to, czy mię ona kocha czy nie kocha. Lecz nie kocha.

— Gdybym tego była pewna... wówczas... wówczas nie wadziłoby mi, że ją znam. Czemu jesteś taki przekonany? Powiedz mi.

Więc powiedział.

A zatem owa przeczuwana pewność była mimo wszystko złudzeniem.

— I kiedyż to, Jerroldzie?

— Hm, na drugi czy trzeci dzień po jej przyjeździe w kwietniu. Nie wiedziała, nieboraczka, jaki mi tem kamień zdejmuje z serca.

— Kwiecień — wrzesień. I dotychczas?

— Ano, hm, dotychczas.

— A dawniej?

— Dawniej było w porządku.

— I tak długo jej nie było...

— Właśnie. Wieki całe. Tem się bardziej zdziwiłem.

— Żałuję, żeś mi wcześniej nie powiedział.

— I ja żałuję, skoro cię to uspokaja.

— Tak jest. A jednak, Jerry, musimy zaprzestać, dopóki ona nie wie.

— Ma się rozumieć. To zbyt szpetne. Powiem jej. Następnie wyjedziemy gdzieś aż do załatwienia rozwodu i wrócimy dopiero, gdy będę mógł cię poślubić... Skoro wyjedziemy, wszystko się zmieni na lepsze.

— Tak, kiedy jej powiesz. Należało powiedzieć już dawno, zanim się to stało.

— Zapewne. Lecz teraz... co u djabła mam jej mówić?

Wyglądało to, jakby po raz pierwszy uświadomił sobie, czem będzie ta rozmowa.

— Prawdę, całą prawdę.

— W jakiż sposób, kiedy ty w grę wchodzisz?

— Dlatego właśnie, że ja, musisz jej powiedzieć. W przeciwnym razie sama to zrobię.

— Dobrze. Powiem jej natychmiast i niech się to raz skończy. Powiem dzisiaj.

— Nie. Dziś nie można; zanadto jest znużona. Zaczekaj, aż wypocznie.

I Jerrold czekał.

Rozdział szesnasty:

ANNA, MADZIA I JERROLD

1.

Jerrold czekał — i Madzia wyspowiadała się pierwsza.

Działo się to w środę, pięknego dnia wrześniowego; Jerrold miał zawieźć obie panie samochodem do Oxfordu. A na dziesięć minut przed wyruszeniem Madzia oświadczyła że czuje się zbyt słabą. Anna nie chciała bez niej jechać, toteż Jerrold, dosyć zły, puścił się w drogę sam. Nie pojmował tych raptownych napadów wyczerpania, gdy żadnych nie było po temu przyczyn. Jest kapryśna i histeryczna. Mama kazała się kłaniać — tenże miły zwyczaj psucia wszystkim zabawy w najmniej odpowiedniej chwili. Ostatnio zaś stała się szczególniej nieznośna w aucie. To się jedzie za prędko, to za daleko, to znów wiatr jest porywisty; wkońcu trzeba było wracać albo pełznąć jak ślimak. Innym znów razem nie chciała wogóle jechać, „żeby nie psuć przyjemności". Naogół wolała, gdy u kierownicy siadała Anna.

Dzisiaj Jerrold był nierad z żony ze względu na Anię. Gdyby nie Madzia, pojechałaby z nim i nareszcie użyłaby całodziennego odpoczynku. Doprawdy, Madzia mogła była pomyśleć o tem. Bo przecież nie można jej zarzucać egoizmu. I trzeba wyznać, że i tym razem nie chciała Anny zatrzymać. Dotąd słyszy jej wzruszający głosik, błagający dziewczynę, żeby się wybrała, „bo Jerroldowi będzie przykro". Wiedział także, że kiedy Anna coś sobie postanowi, żadne namowy nie pomogą.

Miał czas rozmyślać o tem, siedząc w oxfordzkiej restauracji w oczekiwaniu przyjaciół, których zaprosił na śniadanie. I nagle niezadowolenie przedzierzgnęło się w litość.

Nie dziw, że Madzia jest histeryczna. Jego z nią pożycie jest nawskroś fałszywe, okrutnie nienaturalne. Powinna była mieć dzieci. Albo nie należało się z nią żenić. Źle było od samego początku. Może Madzia zdaje sobie sprawę, że czegoś tu brak. Może nie. Wydawała mu się zawsze dziwnie nieświadomą. To dlatego, że go nie kocha. Może gdyby ją kochał namiętnie, byłoby inaczej; może nie. Madzia jest nieuleczalnie zimna. Wzdraga się na najlżejszy odruch zbliżenia, boi się lada emocji. Jest jedną z tych nieszczęsnych kobiet, co się już urodziły ze wstrętem do gorących zbliżeń, co nie mogą się oddać. Lecz co go dziwi, to połączenie takiego temperamentu z taką słodyczą i urokiem. Przecież inni mężczyźni ją uwielbiali. Gdyby nie Anna, on sam mógłby ją uwielbiać... I znów się zastanowił, czy, jeśliby tak było, również postępowanie Madzi byłoby inne.

Chyba nie. Jest szczęśliwa na swój łagodny, beznamiętny sposób. Szczęśliwa i spokojna. Darząca szczęściem i pokojem — o ile ci szło o pokój. To ten spokój i szczęście Madzi pociągnęły go ku niej, kiedy się przed trzema laty wyrzekł Anny.

I znowuż nie mógł zrozumieć tego związku histerji z doskonałym spokojem. Nie, stanowczo nie pojmuje Madzi.

Może ostatecznie zdobyła sobie to, czego chciała. Nie byłaby szczęśliwa i spokojna, gdyby wyszła za jakie bydlę bez względów, mocno się upierające przy swych prawach. Jakieś wierne bydlę; albo za takie obłudne bydlę jak on, które tylko Annie dotrzymuje wiary.

Na myśl o Annie mroki zalały mu mózg. Umysł przebijał mu się przez nie, szukając światła.

Wejście przyjaciół urwało medytacje.

2.

Madzia leżała na sofie w bibljotece, Anna siedziała przy niej. Madzia miała oczy przymknięte, lecz teraz je otwarła i Anna ujrzała jej wzrok i uśmiech.

— Jesteś złota dziewczyna, Aniu; szkoda jednak, żeś nie pojechała z Jerroldem.

— Ja nie żałuję. Nie byłaby mi to żadną przyjemnością.

— Ale j e m u.

— I jemu nie, gdyby myślał, że zostałaś tu sama jedna.

Madzia się znowu uśmiechnęła.

— Jerry nie myśli, Bogu dzięki.

— Czemu „Bogu dzięki"?

— Bo nie chcę, żeby myślał. Nie chcę, żeby widział.

— Czego?

— Ano, nie mogę żyć jak inni.

— Madziu, d l a c z e g o nie możesz? Dawniej mogłaś. Jerrold mi opowiadał, jakeś skakała, tańczyła, grała w golfa i tennisa.

— Albożteraz co mówi?

— Tylko tyle, że dawniej używałaś więcej ruchu i że to strasznie źle, żeś teraz zaniechała wszystkiego.

— Poczciwy stary Jerrold. Oczywiście wydaje mu się to wierutnie głupiem. Lecz trudno, Aniu. Dziś nie mogę żyć po dawnemu. Muszę się pilnować.

— Ale czemuż?

— Bo z mojem sercem coś się święci. Jerry o tem nie wie. Nie chcę, żeby wiedział.

— Chyba nic poważnego?

— Nic bardzo poważnego. Ale to boli.

— Boli?

— Tak. I ból ten straszy mię. Za każdym razem mam wrażenie, że umrę. No i nie umieram.

— Och, Madziu... jakiż to rodzaj bólu?

— Obrzydliwy, Aniu. Jakby się było pełną tłuczonego szkła, zlepionego krwią, uwierającego, rznącego. Chwyta cię to i dusi. Zdaje się, że skóra na twarzy pęknie. Człowiek boi się westchnąć, by to nie wróciło.

— Ależ Madziu, to angina pectoris!

— Nie prawdziwa angina, lecz i tak dosyć to okropne. Och, Aniu, czemże musi być prawdziwa angina?

— Byłaś u lekarza?

— Nawet u dwóch. W Londynie i w Torquay.

— I mówią, że to nie angina?

— Tak jest. To tylko nerwy. Ale jest to całkiem równie męczące, tylko, że się na to nie umiera.

— Biedna Madziunia... Nie wiedziałam.

— A ja nie zamierzałam ci mówić. M u s i a ł a m jednak komuś się zwierzyć. Tak straszno być zupełnie samą i bać się. Przytem ciągle się lękam, że Jerrold się domyśli. Za nic nie chcę, by mię widział podczas ataku.

— Ależ Madziu, kochanie, on powinien wiedzieć.

— Nie. Nawet rodzicom nie mówiłam, żeby mu nie powtórzyli. Na szczęście spadło to na mnie w nocy, tak, że nie widział. Lecz może to nadejść lada minuta, lada sekunda. Gdy się podniecę... To najgorsze, Aniu; boję się podniecić. Boję się czuć. Boję się wszystkiego, co we mnie budzi wzruszenie. Obawiam się dotyku Jerrolda, nawet jego serdecznych słów. Najbłahsza rzecz wprawia moje głupie serce w łomotanie, a to sprowadza ból. Nie śmiem pozwolić Jerroldowi, by spał ze mną.

— I nie powiedziałaś mu!

— Nie. Nie śmiem.

— M u s i s z, Madziu.

— Nie muszę i nie powiem. Strasznieby tę sprawę wziął do serca. Przerazi go to i unieszczęśliwi, a tego znieść nie mogę. I tak dosyć przeszedł. Był na wojnie. Nie mówię, że go wojna przeraziła; lecz *to* przeraziłoby go.

— Sądzisz tedy, że się niczego nie domyśla?

— Nie „sądzę", tylko wiem napewno. Poprostu ma mię za nudną histeryczkę. Wolę już to niż jego zmartwienie. Nic na świecie nie obchodzi mię poza Jerroldem. Bo, uważasz, ja go tak straszliwie kocham... Ty sobie nie wyobrażasz, co to znaczy: tak go kochać, będąc zmuszoną wciąż go odsuwać, nie mogąc nic mu dać. Nie ważę się przypuścić go do siebie, z powodu tych okropnych obaw. Wiem, iż nie należy się bać cierpienia, lecz to jest jedno z tych cierpień, które właśnie polegają na strachu przedewszystkiem. Toteż nic nie mogę poradzić.

— Oczywiście nie możesz.

— Byłoby mi to obojętne, gdyby nie Jerrold. Nie powinnam była wychodzić za niego.

— Ale, moja Madziu, ja nic nie rozumiem. Zawsześ taka szczęśliwa i spokojna. Jakże to możliwe z tym mieczem nad głową?

— Muszę być spokojna — ze strachu. A szczęśliwa jestem dlatego, że mam Jerrolda. Sama świadomość, że on jest tutaj... Nie mam pojęcia, Aniu, cobym poczęła, gdyby Jerrold nie był wcieloną dobrocią. Nie wszyscy mężczyźniby to znieśli. A to jeszcze wzmaga moją miłość. Nie dowie się nigdy, jak go kocham.

— Musisz mu powiedzieć.

— W tem sęk. Nie śmiem nawet pokusić się o to. Żyję w ustawicznem tchórzostwie.

— I jesteś najdzielniejszą istotą w świecie.

— Bo muszę. Nie wypada zdradzać się z bojaźnią. Wszelakoż jestem rada, że ci się wynurzyłam.

Wsparła się o poduszki, zadyszana.

— Nie powinnam... więcej... gadać.

— Nie, nie. Odpocznij.

— Nie pogniewasz się?... No... to weź sobie książkę... i poczytaj. Strasznie ci... będzie nudno.

Zamknęła oczy.

Anna wzięła książkę i usiłowała czytać; ale słowa się zlewały, szare wiersze wiły się na białej karcie. Nic nie było dla niej wyraźne, tylko ten jeden fakt, że Madzia wyznała jej prawdę o sobie.

Było to najgorsze z dotychczasowych jej przeżyć. Stanowiło to najgroźniejszy wyrzut, ostateczną klęskę. A jednak spowiedź Madzi nie zaskoczyła jej. Oto jest ta pewność, zaczajona pod pozorami, pewność, którą przewidziała, gdy jej Jerrold prawił o Madzinej oziębłości. Oznacza to, że Jerrold się nie wymknie, że ugodzi go kara cięższa jeszcze niż ją. Żaden gwałtowny czyn Madzi nie byłby dla Jerrolda dotkliwszy nad jej chorobę i nad sposób, w jaki ją kryła przed nim. Biedaczka przeżywająca tę grozę, sama jedna noc po nocy, drżąca w łóżku, zamknięta ze swem przerażeniem... Jerrold jest docna nieobronny; wiara w Madziną obojętność była mu dotąd jedynym rynsztunkiem, chroniącym od skruchy. Jakże on zniesie dojmującą miłość Madzi? Jak przyjmie wiadomość o niej?

Anna pojęła, czem się to skończy. Będzie to kres ich szczęścia. Po tem wypadnie im się rozstać; Jerrold nigdy już nie weźmie jej w ramiona, nigdy już nie przyjdzie do niej na pola między północą a brzaskiem. Nie mogą należeć do siebie, jeśli nie wyznają Madzi prawdy; a wyznać teraz nie mogą, gdyż prawda sprowadziłaby mękę na jej biedne chore serduszko. Nigdy się im nie uda być z nią szczerymi, nazawsze będą musieli kryć, czego się dopuścili. Swą słodyczą Madzia oniemiła ich na wieki.

Jednakiem niepodobieństwem było dla Anny: nadal zażywać rozkoszy, znając już prawdę o Madzi, jak również: zachować to w tajemnicy przed Jerroldem. Ona mu powie i niech się wszystko skończy.

3.

Została u Madzi aż do wieczora.

Jerrold wrócił; obecnie szli we dwoje poprzez pola,

gdy Anna postanowiła, że mu powie natychmiast. Ot, tam, przy tem drzewie... przy następnem... kiedy dojdą do sosen.

Tam zatrzymała go przy ogrodzeniu. W ciemności nie widzieli się wyraźnie, majaczyły tylko ich twarze i biały płaszcz Anny.

— Chwilkę, Jerroldzie. Mam ci coś do powiedzenia. O Madzi.

Wyprostował się raptownie. Anna intuicyjnie wyczuła nagłe drgnienie jego zbolałej myśli.

— Wyznałaś jej? — zapytał.

— Nie. Lecz ona mi coś wyznała. Nie chce, żebyś wiedział. Ale powinieneś. Myślisz, że cię nie kocha; tymczasem kocha ciebie, kocha do szaleństwa. Tylko że jest — chora.

— Chora? Nie, Anno. To się jej tylko zdaje. Znam Madzię.

— Nie wiesz o jej sercowych atakach. Okropny ból, Jerroldzie; ból, który ją przeraża.

— Mój Boże! przecież chyba nie angina?!

— Nie prawdziwa. Inaczej jużby nie żyła. Ale ból tak potworny, iż za każdym razem ma wrażenie konania. To jest to, co nazywają nerwicą. Dlatego nie pozwala ci spać ze sobą, ze strachu, żebyś nie zobaczył.

W mroku i milczeniu czuła nieomal namacalnie skurcz jego serca.

— Twierdziłeś, że jest nieczuła. Ona się boi czuć, gdyż to sprowadza męczarnię.

Odezwał się nareszcie: — Czemuż u Boga nie mówiła mi?

— Bo cię tak bardzo miłuje. Biedaczka nie chce, ażebyś z jej powodu cierpiał.

— Jakież to ma znaczenie!

— Dla niej — ogromne.

— Czy naprawdę uważasz, że zapadła na tę piekielną chorobę? Któż to orzekł?

— Lekarz w Londynie i drugi w Torquay.

— Zawiozę ją jutro do specjalisty.

— W każdym razie nie wspominaj, że to ja ją zdradziłam, bo już nigdy mi nic nie wyzna.

— Więc cóż mam mówić?

— Że się od dłuższego czasu niepokoisz o nią.

— Bogiem a prawdą, było to moim obowiązkiem.

— Że się niepokoisz o nią i przypuszczasz coś złego. Jeżeli zaprzeczy, mów, że pragniesz się upewnić.

— Słuchajno, a skąd te konowały wiedzą, że to nie istotna angina?

— O, ze stanu serca. Ani przez chwilę nie przypuszczam istotnej anginy, bo nie żyłaby już. A z pseudoanginy się nie umiera. To tylko nerwy, choć ból jest straszny.

Jakiś czas milczał.

— Anno... Madzia nas zwyciężyła. Nie możemy jej teraz powiedzieć.

— Nie możemy. Ani ciągnąć tego dalej. Skoro nie możemy być szczerzy, musimy wyrzec się siebie.

— Wiem. Tak dalej być nie powinno. I na tem koniec.

Głos jego padł na jej sterane serce brzemieniem nieodwołalności.

— Trzeba to urwać zaraz, natychmiast, — rzekła. — Rozstańmy się.

— Odprowadzę cię kawałek. Do tego pola.

— Nie, pójdę inną drogą.

Podszedł do niej blisko, tak blisko, jakby ją miał porwać w ramiona na jedną noc ostatnią, na jeden ostatni raz. Pragnął jej dotknąć, wyrwać ją pochłaniającemu mrokowi. Ale wymknęła się i on nie podążył za nią. Jeśli jej dotknie, namiętność jego buchnie płomieniem, a tego Jerrold się bał. Trzeba przerwać stanowczo, bez słowa, bez uścisku.

Ścieżka między sosnami wiodła do furtki u końca drogi, obiegającej dworskie pola. Wiedział, że Anna odejdzie tamtędy, gdyż nie chciała iść mimo ich namiotu. Nie mogłaby dziś usnąć w nim.

Stał nieruchomo, śledząc jak się oddalała w swym białym płaszczu, zdala widocznym wśród ciemnych pni sosnowych. Oto dotarła do furtki. Zatrzymała się tam chwilkę. Ujrzał, jak się prześlizguje niby białe widmo, usłyszał głuchy szczęk zapadającej drewnianej klamki. I już jej nie było.

Rozdział siedmnasty:

JERROLD, MADZIA, ANNA, ELIOT

1.

Madzia leżała w łóżku, bezsilna, otwarcie chora. Na nic się nie zdało dłużej ukrywać. Jerrold wiedział.

Owej nocy po odejściu Anny, udał się do sypialni Madzi. Nie mógłby zasnąć, dokąd się nie upewnił, iż żona czuje się dobrze. Nachylił się nad nią, by ją ucałować. Madzia usiadła na łóżku, tuląc się do niego twarzą, obejmując go ramieniem za szyję, ciągnąc go ku sobie — gdy nagle ból ją chwycił, że musiała opaść na poduszki i tak leżała mu na ramieniu, zdyszana, dusząca się.

Wydało mu się, że umiera. Zaczekał, aż się ból uspokoił, następnie zbiegł ze schodów i zatelefonował po Ransoma. W śmiertelnem zawieszeniu patrzał, jak stetoskop lekarza błądził po szczupłej piersi i plecach chorej. Miał wrażenie, iż Ransome robi to nieskończenie długo, że widocznie jest na tropie groźnego odkrycia. Gdy zaś lekarz odłożył stetoskop i rzekł krótko: „Serce całkiem zdrowe. Nic mu nie brakuje”, był przekonany, że Ransome jest starym błaznem, nie znającym się na swem rzemiośle. Albo może kłamie przez wzgląd na Madzię.

Gdy się znaleźli sami w bibljotece, powiedział:

— Słuchaj, Ransome, mnie kłamać nie potrzeba. Chcę wiedzieć prawdę.

— Mój drogi Fielding, ani mi się śni wam kłamać. Serce twej żony jest zdrowe. Żadnej wady organicznej.

— Z takiemi bólami? Ależ ona konała, Ransome, mówię ci: konała. Skąd wiesz napewno, że to nie angina?

— Bo nie angina. Nie ta prawdziwa. Pseudo-angina to nerwica, nie zaś sercowa choroba. Niech się stan nerwów poprawi, a wszystko będzie jak najlepiej. Czy miała jakie zmartwienie? Jaką zgryzotę?

— Chyba nie.

— Jaki powód do troski?

Zawahał się. Biedna Madzia miałaby aż nadto powodów do troski, gdyby wiedziała. Lecz nie wie. Zdało mu się, że Ransome popatruje nań zezem.

— Nie, — zaprzeczył — żadnego.

— Zupełnieś pewien? A może dawniej?

— No, sądzę, że kiedym był na wojnie, porządnie się niepokoiła.

— A jeszcze dawniej? Przed laty?

— Tego nie wiem. Lecz nie myślę.

— Jednak nie przysiągłbyś?

— Nie, nie przysiągłbym. Może ongi, przed naszym ślubem.

— Postaraj się to zbadać, — zalecił Ransome. — I utrzymuj ją w pogodzie ducha i spokoju. Lepiej niechaj poleży tydzień lub dwa.

Madzia więc została w łóżku, a Jerrold i Anna siadywali przy niej, jużto razem, już kolejno. Kazał ustawić swoje łóżko w jej pokoju i tam też spał czy usiłował spać. Przeważnie bowiem przez pół nocy leżał bezsennie, nasłuchując ciężkiego jej oddechu oraz cichego zdławionego okrzyku, gdy nadchodził ból.

(C. d. n.)

NASZE
PENSJONATY I HOTELE

MÓWIŁO się zawsze wiele o tem, że powinniśmy popierać krajowe zdrojowiska, a dziś mówi się ponadto o potrzebie skierowania europejskiego ruchu turystycznego do Polski.

I jeden i drugi problem jest niezmiernie ważny z ekonomicznego i propagandowego punktu widzenia, jeden i drugi napotyka w rozwiązaniu na trudności, które staramy się zwalczać w sposób czysto teoretyczny, to jest słowem i pismem wysławiającem uroki i skuteczność naszych miejscowości kąpielowych, podczas kiedy sukces w tym wypadku zależy głównie od akcji na terenie praktycznym.

Ta akcja powinna przedewszystkiem objąć reformy w dziedzinie naszego przemysłu hotelarskiego.

Hotelarstwo polskie stoi na niskim poziomie. Nie dlatego, iż nie posiadamy w kraju ani jednego naprawdę luksusowego hotelu, co jest bardzo zrozumiałe, gdyż amerykańscy miljonerzy nie przyjeżdżają do nas na wywczasy, a nas samych nie stać na płacenie nieuniknionych w tym wypadku cen — lecz dlatego, że nawet ta klasa hoteli i pensjonatów, jaka w Polsce istnieje, wymaga innych urządzeń i innej administracji, niż się to u nas widzi.

W Polsce traktuje się hotelarstwo, jak rodzaj domowego gospodarstwa na większą skalę — a nie jak przemysł, któremu mogą podołać tylko wykwalifikowane siły. Ludzie w których ręku spoczywa zarząd większych hoteli, mają z nielicznemi wyjątkami niewystarczające wykształcenie fachowe a właściciele i właścicielki pensjonatów nie posiadają go wcale. Zawodowe szkoły u nas nie istnieją, a nasi hotelarze albo nie mają możności, albo nie rozumieją koniecznej potrzeby wyjazdu za granicę na specjalne studja i praktykę, lub chociażby na to, aby się przyjrzeć jak wyglądają i jak są prowadzone zagraniczne hotele.

Niewiasta, która nie przekroczyła nigdy murów rodzinnego grodu i zarządzała własnym domem w sposób pozostawiający wiele do życzenia, znalazłszy się w sytuacji życiowej wymagającej samodzielnej pracy — zakłada pensjonat. Bierze się do rzeczy, o której niema najmniejszego pojęcia, wykonuje czynności zawodowe bez żadnego przygotowania i w dodatku bez specjalnej ochoty, zmuszona do nich przeważnie smutnemi okolicznościami. I jakiż to może być pensjonat!? Jakże można sobie wyobrazić, aby cudzoziemcy znaleźli w nim to do czego są przyzwyczajeni, co cały cywilizowany świat uważa za rzecz zwykłą i powszednią, skoro sama właścicielka, znajduje się co do tych spraw w stanie kompletnej ignorancji. Nie mówię już o ultra moderne urządzeniach jak bieżąca woda, telefony w pokojach i t. p. — lecz o najprymitywniejszych wymogach, tyczących porządku, czystości i wygody. Jakaż jest pościel w tych pensjonatach! Jakie meble! W jaki sposób podają śniadanie w numerach! Czyż przyjdzie na myśl szanownej właścicielce przykryć starą, wysłużoną tacę, jeśli już nie haftowaną, to przynajmniej zwyczajną, czystą serwetą — a wyszczerbione kubki zastąpić przyzwoitym serwisem, którego kupno tak bardzo by jej nie zrujnowało?! Czyż jest ona w stanie zrozumieć, że ktoś, kto żąda codziennej zmiany ręczników, kto nie lubi używać cynowej łyżeczki, kto patrzy z abominacją na splamiony dywan i domaga się wygodnego fotelu w swoim pokoju — jest mimo tego zdrów na umyśle? Czyż ma ona pojęcie jakie instrukcje należy dawać służbie, aby ta służba nie była raz uniżoną a raz czelną, lecz zawsze grzeczną i chętną do posług? Czyż wie ona, że rozczochraną Kasię strojną w wynoszoną bluzkę swej pani i bosego Wojtka prezentującego się stale w negliżu, należy obdarzyć przyzwoitem, dostosowanem do ich roli, ubraniem? Czyż zastanawia się ona nad tem, że przedpokój, to nie jest graciarnia, że łazienka wymaga tej samej kokieterji co salon, że gorącej wody do mycia nie mierzy się na uncje, że kwiaty na stole nie są dzikim wymysłem, a staranność zastawy stołowej nie obowiązujc tylko na Wielkanoc i Boże Narodzenie?

Niedbalstwo w naszych pensjonatach, a nawet hotelach, które się tytułują pierwszorzędnemi, przechodzi pod tym względem wszelkie pojęcie — i podziwiam doprawdy skromność wymagań, czy też pobłażliwość naszej publiczności, która to znosi.

Jeśli mówi się tyle o popieraniu zdrojowisk krajowych, dlaczego wspomina się tak mało o obowiązkach tych, którzy z tych zdrojowisk ciągną zyski? — Uważamy się za naród kulturalny — dlaczegoż mamy tak mało kulturalnych wymagań w codziennem życiu? A jeśli je mamy — dlaczegoż nie żądamy, aby się nasi hotelarze do nich dostosowali? Wyjazd na wakacje u nas łączy się z całym szeregiem poświęceń i z abnegacją, do której we własnym domu nigdy nie bylibyśmy zdolni.

Wszyscy ci, którzy wyjeżdżają za granicę i mają możność porównań między tem co jest u nas, a tem co się widzi w świecie, nie powinni potem ograniczać się do narzekań, lecz udzielić swoich obserwacyj naszym hotelarzom; uwagi te zaś należałoby przyjąć z wdzięcznością, a nie wzruszeniem ramion lub z oburzeniem niewinnie gnębionych ofiar, jak to zazwyczaj bywa.

Mieszkam od kilkunastu lat, stale za granicą; znam wszystkie typy hoteli, od najpierwszorzędniejszych do całkiem skromnych, w Europie i poza Europą — i dlatego pozwalam sobie w tej sprawie głos zabierać.

O stanie hotelarstwa danego kraju, nie decydują pałacowe budowle, mieszczące w sobie kilkaset pokoi, olśniewające salony, wspaniałą restaurację, dancing, zimowy ogród i piscynę — lecz właśnie hotele średniej klasy, przeznaczone dla tej najliczniejszej rzeszy turystów, rekrutującej się z ludzi niezbyt zamożnych, ale mających kulturalne wymagania.

Hiszpanja posiada hotele, zaliczające się do najwspanialszych w Europie. Taki Palace w Madrycie, Ritz w Barcelonie, Alhabra w Granadzie lub Mària Cristina w San Sebastjan — dają wszystko, co tylko nowoczesny komfort i wyrafinowany zbytek może wymyśleć. A jednak hotelarstwo hiszpańskie nie może służyć za przykład, gdyż zadowala ono tylko turystę, który nie zważa na cenę — ten zaś, który rozporządza skromniejszym budżetem a mimo tego żąda komfortu, nie znajduje dla siebie stosownego pomieszczenia i jest skazanym na pobyt w przybytkach, które stoją poniżej jego potrzeb, gdyż hoteli wykwintnych, a dostępnych średniej sferze w Hiszpanji niema.

Szwajcarja natomiast liczy się właśnie z niezamożnym a kulturalnym turystą i dlatego każdy, bez względu na swoje finanse, znajdzie tam to, czego się od nowoczesnego hotelarstwa wymaga. — Różnica między takim Montreux-Palace a pensjonatem mieszczącym się w zacisznej willi, będzie ta — że w pierwszym są apartamenta o ścianach jedwabiem pokrytych, służbę stanowi mała armja, a obiady składają się z niezliczonej ilości dań, których połowy nikt nie jada; w drugim zaś — są małe pokoje, służba złożona tylko z czterech pokojówek, a obiady tylko z czterech dań. Ale te skromne pokoje będą równie starannie sprzątnięte jak tamte apartamenta, te pokojówki usługują równie sprawnie jak owa hotelowa armja, a cztery dania są równie smaczne, jak potrawy, któremi krzepią się miljonerzy.

Cała Szwajcarja jest jedną wielką akademją hotelarską, która w ten właśnie sposób swój przemysł pojmuje.

Ciągle się u nas mówi o potrzebie wybudowania wielkich, luksusowych hoteli. Tej potrzeby zupełnie niema — istnieje natomiast konieczność zreformowania tego, co już posiadamy. Nie to postawi nasze hotelarstwo na europejskiej stopie, że stanie jeden i drugi gmach, posiadający hall, w którym można czwórką koni obrócić — i taką ilość pokoi, z których połowa będzie zawsze pustką stała — lecz to, że w każdym z naszych chociażby najskromniejszych pensjonatów będzie można wejść do łazienki bez obrzydzenia, że „europejskość” naszych hotelarzy podkreślona będzie wielką uprzejmością, że usługiwać nie będzie zaangażowana na polance pasterka, lecz doskonale wyszkolona pokojówka, a światło elektryczne stanie się równie popularne jak światło słoneczne.

I wówczas apel do społeczeństwa, aby popierać zdrojowiska krajowe, stanie się prawdopodobnie zbędny, a cudzoziemcy nie będą mieli powodu do złośliwych uwag, które są dzisiaj zupełnie usprawiedliwione.

RITA REY

COŚNIECOŚ DLA PANÓW



Palto z popielatego, czarnego lub granatowego marengo. Kołnierz i wyłogi z perskich baranków

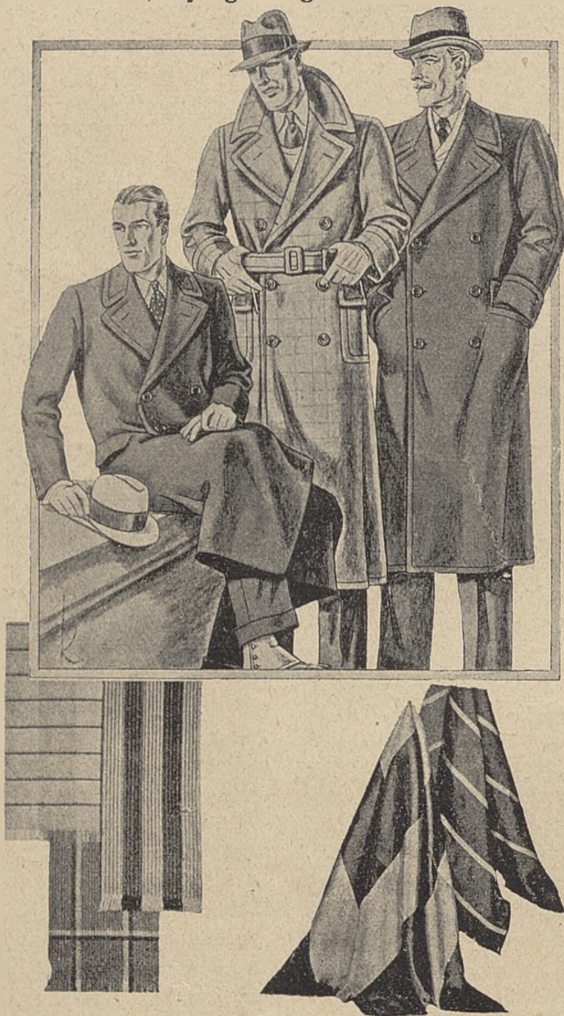
NAJPOPULARNIEJSZYM MODELEM wśród praktycznych okryć zimowych męskich pozostał ulster, którego dawny, jakgdyby uniformowy wygląd, zmienił się nieznacznie. Mamy obecnie trzy odmiany fasonów:

Ulster pierwotny, klasyczny, dwurzędowy, z dragonikiem wtyle. Brzegi dookoła, wraz z kołnierzem, wyłogami, mankietami i kieszeniami, wystebnowane, wyłogi poszerzone, kieszenie zacinane, materjał gładki, ciemny.

Ulster o charakterze sportowym: szeroki kołnierz i wyłogi, olbrzymie nakładane kieszenie, pasek, stebny. Materjał może być także jaśniejszy i w lekką kratę, z gatunku puszystych, a również w nieznaczny deseń.

Ulster zbliżony do fasonu palta, lecz szerszy od niego. Kołnierz i wyłogi normalnej wielkości, rękawy bez mankietów a z trzema guzikami, stebny wyłącznie na kołnierzu, wyłogach i na przednim brzegu ulstra. Materjał gładki, ciemny.

Do znanych nam już rodzajów materjałów na ulstry przybył obecnie nowy: *floconné*. Sama nazwa określa go najlepiej; jest puszysty, gruby, miękki jak aksamit i tak ciepły, że z powodzeniem może zastępować futro. Wobec takiego zaś przeznaczenia musi być bardzo dyskretny w barwie i wzorze; kraty wyłączone najzupełniej. *Floconné* nadaje się na miejskie ulstry i palta, na sportowe i podróżne płaszcze; wyrabiany bywa przedewszystkiem w kolorach: czarnym, ciemno-granatowym, jasno-popielatym i ciemnym, a także w oliwkowo-bronzowym i innych modnych odcieniach.



Trzy odmiany ulstrów
W dole na lewo modele wełnianych szalików, na prawo jedwabnych



Futro z czarnego materjału; kołnierz i wyłogi z selskinu

Szaliki do ulstrów są odpowiednie z cienkiej wełny, ostatnio z kaszmiru, który dobrze grzeje i pięknie się układa, a jest najcienszy z wszystkich tkanin na ten cel przeznaczonych.

Miejskie palta i futra nie doznały zasadniczych zmian w kroju, ani w kolorach; również materjały pozostały te same. Częściej tylko, niż dawniej, mają palta i ulstry kołnierze wraz z wyłogami z futra, np. z baranków perskich, australijskich oposów, bobrów.

Futra tak miejskie, jak sportowe, mają dwurzędowe zapięcie. Materjały miejskich, o ile nie czarne, najciemniejsze popielate. Przy sportowych swobodniejszy wybór w kolorach.

Fasony kołnierzy futrzanych są w trzech odmianach. Krótkie sportowe futerka, zapięte pod szyję na cztery guziki, mają wyłącznie kołnierz pokryty futrem; dłuższe sportowe, kołnierz i wyłogi. Futra miejskie mają futrzane kołnierze z wyłogami, albo kołnierze krojem szalowym. Wśród gatunków futer na kołnierze przeważają krótkowłose, jak wydra a najczęściej selskin.



Futro z shetlandu w odcieniu popiołu; szalowy kołnierz z oposów

Modeli futer wieczorowych nie opisuję, jako luksusowych i nie nadających się do naszych skromnych warunków. Zaznaczam tylko, że są i takie.

Szaliki do futer i palt miejskich są jedwabne. W kolorach, jako tło przemawiają: popielaty, bronzowy, granatowy, przetykane nitkami innych kolorów. Wzory przeważnie w kratę lub w pasy. Przy wyborze koloru szalika uwzględnić należy kolor okrycia. Jasne szaliki w jednym kolorze noszone są do okryć o charakterze wizytowym, zwłaszcza do twardego kapelusza. Na wieczór, do fraka, smokinga najodpowiedniejsze ze względu na odsłonięty przód koszuli, są szaliki białe, srebrzysto-popielate lub szampańskie.

Do ulstrów nadają się wyłącznie miękkie filcowe kapelusze, do palt miękkie i twarde.

W modelach miękkich kapeluszy przeważa zazwyczaj pewien uniwersalny typ, który może służyć do różnych ubrań. Jest nim gładki ciemno-popielaty filc o brzegach nieobstebnowanych wstążką. Godzi się prawie z wszystkiemi kolorami — z wyjątkiem intensywnie bronzowych — i stąd też jego popularność. Oprócz niego są jednak i inne kolory w obiegu, a ostatnio wybija się kolor bronzowy na pierwszy plan, w odcieniach hawanna i kuba. A wogóle kolory są spokojne, dyskretne, tak w jasnych, jak w średnich i ciemnych tonach. W przeciwieństwie do lat ostatnich tegoroczna moda zimowa przechyla się raczej ku jaśniejszym aniżeli ciemniejszym barwom. Nowością sezonu jest t. zw. filc fantazyjny, wyrabiany w różnych odmianach; najpiękniejszą z nich przedstawia filc o długim jedwabistym włosie, mocno zaprasowanym.



Palto z popielatego materjału; kołnierz aksamitny, zapięcie kryte

GENTLEMAN

PLOTECZKI O MODZIE

TRUDNO ZAPRZECZYĆ TEMU, że dzisiejsza moda jest kosztowna, już chociażby ze względu na wybujałą szerokość sukien na wieczory i bale, na bogactwo futrzanych przybrań, na konieczność harmonizowania — w barwie — drobiazgów z kolorem sukien i okryć.

Ale mimo to wszystko, kobieta sprytna i chcąca zadać sobie trochę trudu, wybrnie zwycięsko z zawiłego labiryntu piętrzących się na każdym kroku przeszkód — finansowej natury. Mimo ograniczonych warunków utrzyma się zawsze na powierzchni współczesności i szyku.

Jest to wprawdzie specjalny dar w tym kierunku, ale nic tak tajemniczego albo nieosiągalnego, czegoby nie można nauczyć się przy dobrej woli. Drobny ten wysiłek opłaci się w najmilszy sposób — żadna z nas bowiem nie wyprze się chęci wyglądania najkorzystniej, jak tylko można.



Z każdej najkosztowniejszej mody można wybrać coś, co się ze skromnym budżetem nie pokłóci. Trzeba tylko wszystko kupować celowo. Modele, rodzaj materjałów, barwy i uzupełnienia garderoby. Jeżeli kobieta może sobie sprawić jedną suknię popołudniową, nie powinna wybierać fantazyjnego fasonu ani zwracającego uwagę koloru. Spokojny model, dyskretny kolor nie opatrzą się prędko. To samo odnosi się do płaszczy, kostjumów, kapeluszy, obuwia i torebek. Jeśli budżet pozwala nam na jeden płaszcz lub kostjum — nie można wybierać modeli popołudniowych. Kobieta, śpiesząca rano do pracy lub na zakupy, trochę śmiesznie wygląda w popołudniowych wspaniałościach. Natomiast skromne modele, utrzymane w charakterze angielskim, nie rażą o żadnej porze dnia.

Luksusowe obuwie, torebki, strojne kapelusze, wszystko to jest piękne, o ile łączy się z całością. Natomiast szczegół taki wyrwany w pojedynkę, razi poprostu. Nie sprawiajmy tych rzeczy jedynie dlatego, że się nam podobały za szybą wystawową, ale pomyślmy wprzód, z czem w naszej garderobie mogą harmonizować, przy czem razić będą. Obliczmy, jaki kolor przeważa w naszej garderobie.

Pęd do kupowania artykułów „ostatniej mody” stoi często na przeszkodzie do wytwornej elegancji, do tego co określamy słowami: dobrze ubrana, a co nie jest równoznaczne z ostatnim krzykiem mody, który może być niesmaczny lub śmieszny.

Panująca od kilku lat moda na kolor czarny jest niezmiernie praktyczna i ekonomiczna. Czarny kapelusz, czarna torebka i czarne pantofelki mogą być uzupełnieniem każdego płaszcza, kostjumu, sukni. Kto więc może kupić po jednym z tych szczegółów — niech wybiera kolor czarny. Czarna suknia nie opatrzy się nigdy, a zawsze można ją dyskretnie rozjaśnić jakimś kolorem zwłaszcza u szyi, o ile komuś w czarnem nie do twarzy. Paryż, na jesiennym przeglądzie modeli, przedstawił około 90% czarnych.

Garderobę w czarnym kolorze zawsze łatwiej przerobić od innej, łatwiej dokupić materjał i tak skombinować, że nikt nie domyśli się przeróbki. Coprawda, dziś jest to raczej honorem, aniżeli ujmą, jeśli kobieta wykazuje w tym kierunku dobre chęci, pomysłowość i zdolność.

Kombinowanie różnych gatunków materjałów w odmiennych kolorach np. przy kompletach i kostjumach — o czem już pisałam — pomaga również budżetowi i przeróbkom. Strojniejsze suknie, i wieczorowe, możemy także zestawiać z dwóch odmiennych materjałów i kolorów. Jedwab łączymy z wełną lub z aksamitem, wełnę gładką z fantazyjną, kostjum aksamitny z bluzką z jerseyu, na suknię czarną wkładamy płaszcz w dowolnym kolorze, na kolorową, czarny. Wszystkie połączenia dopuszczalne, byle się zlewały w harmonijną całość. Kostjum o odmiennym żakiecie, spódniczce i bluzce nie jest rzadkością.

Różnorodność fasonów jest tak wielka, zwłaszcza wśród sukien wieczorowych, że żadna z nich nie jest podobna do drugiej. Różne epoki, różne style można ujrzeć na jednem zebraniu. A wszystkie są współczesne, wszystkie są modne. Widzimy suknie tak obcisłe, że ciało wygląda jak akt wyrzeźbiony; dopiero od kolan, lub poniżej kolan rozpoczynają się zawrotnej szerokości wolanty, falbany. A tuż obok greckie szaty lub Empire, tak wdzięczny dla smukłych sylwetek; dalej widoczny wpływ Directoire — i tyle innych, że trudno dziś twierdzić, jakoby wogóle coś było niemodne. A nadewszystko moda prababci święci triumfalny powrót z całym arsenałem t. zw. kobiecości, jeżeli ta ostatnia ma być istotnie synonimem falbankowatych poematów, przeładowania szczegółami, zamiatania posadzek drogocennemi sukniami i szafowania materjałem z dziecięcą naiwnością. Nieopatrzne prawnuczki nie chcą nic o tem wiedzieć, że dawniej a dziś, to wielka różnica — chociażby tylko w cenach. Tylko w logicznem myśleniu — zdaje się — niewielka. Wprawdzie to twórcy mody, krawcy, winni temu (są wśród nich także i krawczynie), tak się usprawiedliwiamy, ale słuchamy wiernopoddańczo...

Można jednak i z 4 m żorżety mieć wieczorową toaletę, wykonaną według fasonu najmodniejszego z modnych!

To na pociechę tych, które uprawiają oszczędność z przekonań, czy z musu.

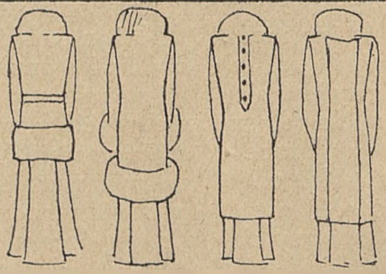
Każda kobieta rozstrzyga więc dziś tak o zaznaczeniu linji stanu, jak o długości swej sukni. Wybór linji tej w miejscu oznaczonem przez przyrodę, chroni często przed fałszywemi proporcjami. Na fantazje mogą sobie pozwolić jedynie nieskazitelnie zbudowane i o normalnym wzroście kobiety. Długość sukien wieczorowych jest różnorodna, a najnowsza odkrywa kostkę. Inne sięgają do ziemi — najrzadsze zaś są z trenami. Są to wyłącznie balowe toalety, pompatyczne, dobre może na dworskie przyjęcia lub w sferach miljarderów, ale śmieszne w skromnej sferze średniej. Zresztą o elegancji modnej wieczorowej toalety nie decyduje stopień jej długości, wedle zapewnień jednego z najsłynniejszych krawców paryskich, Chanela.

CAILLER-SOBAŃSKA

MODELE MOD

ZIMOWE KOSTJUMY Z WYROBÓW KRAJOWYCH





1154 Ciemno-granatowy kostjum przybrany jasno-popielatym barankiem, z którego wykonany jest i zarękawek.

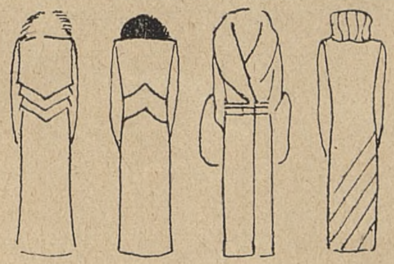
1155 Kostjum z jasnego tweedu, przybrany skunksami. Bluzka z białej wełnianej żorżety, spódniczka w kontrafałdy.

1156 Komplet z wełny w deseń. Wysoki kołnierz i mankiety obszyte pasmami selskinu.

1157 Komplet z czarnej wełny w drobne, jasne punkciki. Kołnierz i obszycie mankietów z fantazyjnego futerka z odcieniem srebrzystym.

Tępmy nałóg palenia papierosów — oszczędzimy zdrowie swoje i swoich najbliższych

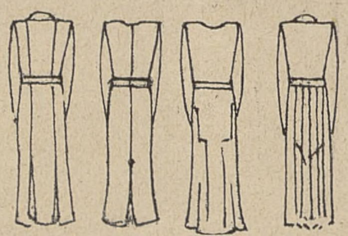




1158 Płaszcz z czarnej wełny, kołnierz i mankiety z jasnego futra. Krój prosty, bolerko wykończone plisami.
1159 Płaszcz z materjału angielskiego, kołnierz i mankiety z czarnego futra. Moda, uwzględniając potrzebę przydłużania modeli zeszłorocznych, pozwala na wstawianie pasów i plis w okolicy stanu, albo bioder.
1160 Płaszcz przydłużony plisami aplikowanemi powyżej pasa. Kołnierz i mankiety z fantazyjnego futerka.
1161 Ciemno-bronzowy płaszcz krojem prostym, ozdobiony zakładkami. Piękny kołnierz i mankiety z futra w dwóch odcieniach.

Nie pozwalajmy na palenie papierosów w sypialniach





1162 Wytworna suknia tailleur w kolorze popielatym z czarnym. Kamizeleczka i mankiety białe, guziczki czarne.

1163 Jasna suknia nakrapiana ciemnem; pasek i guziki dobrane do odcienia nakrapiań. Kamizeleczka związana w krawat z perłowej żorżety.

1164 Suknia krojem jednolitym, z nakładanemi kloszami po bokach. Wgórze u wycięcia plisa; pasek safjanowy.

1165 Suknia w kolorze burgundzkim; kołnierz i mankiety z białej jedwabnej piki. Układane fałdy zprzodu i ztyłu, w połowie zastebnowane.

Tytoń jest trucizną dla naszych płuc i dróg oddechowych

SUKNIE POPOŁUDNIOWE Z NASZYCH WYTWORNYCH KREP KRAJOWYCH





1166 Strojna suknia z crêpe satin w kolorze orzechowym. Draperja u wycięcia z kremowej żorżety; klamra z emalji. Dookoła draperji, przy rękawach i falbanie dołem gufrowana plisa.

1167 Piękny model, pełen prostoty, z wełnianej żorżety ciemnozielonej; kamizeleczka z białej, kwiat z obu materjałów. Zastebnowane kontrafałdy zachodzą ponad pasek.

1168 Suknia z czarnej krepy chińskiej. Na biodrach szykowne zacięcia, dołem klosze. Przodzik i mankiety z drobniutkich falbanek, albo z walensjenek.

1169 Żorżetowa suknia w odcieniu szafirowym przybrana żółtawą koronką.

Walczmy z zanieczyszczaniem mieszkań dymem tytoniowym

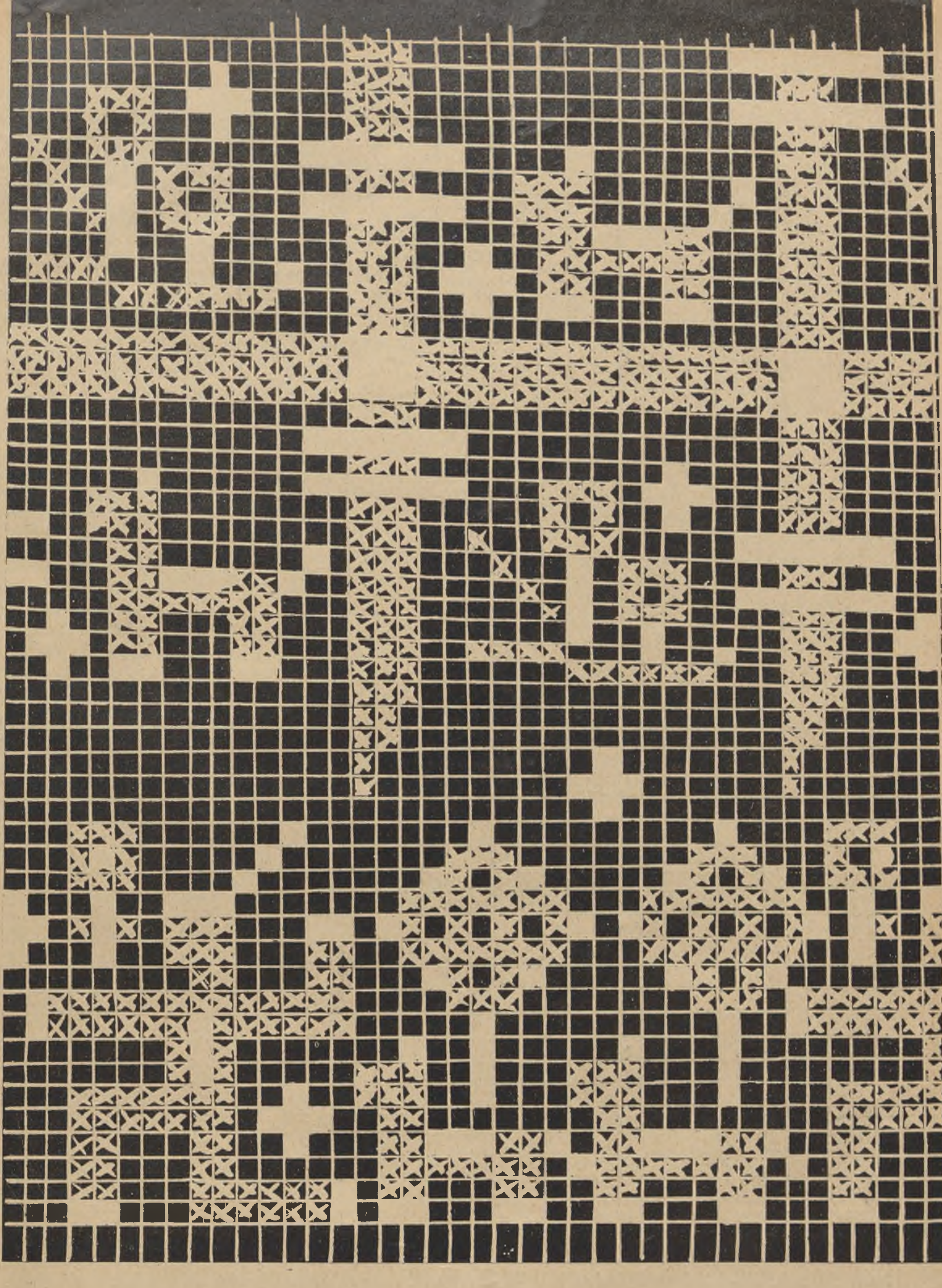


Rys. 343. — OBRUS okrągły aplikowany kolorowemi płóciankami; kwiaty: pomarańczowy i niebieski (farbka), liście: bronzowy i czekoladowy, kółeczka: zielony (pawi), sznureczki w dwóch kolorach: niebieskim i zielonym.

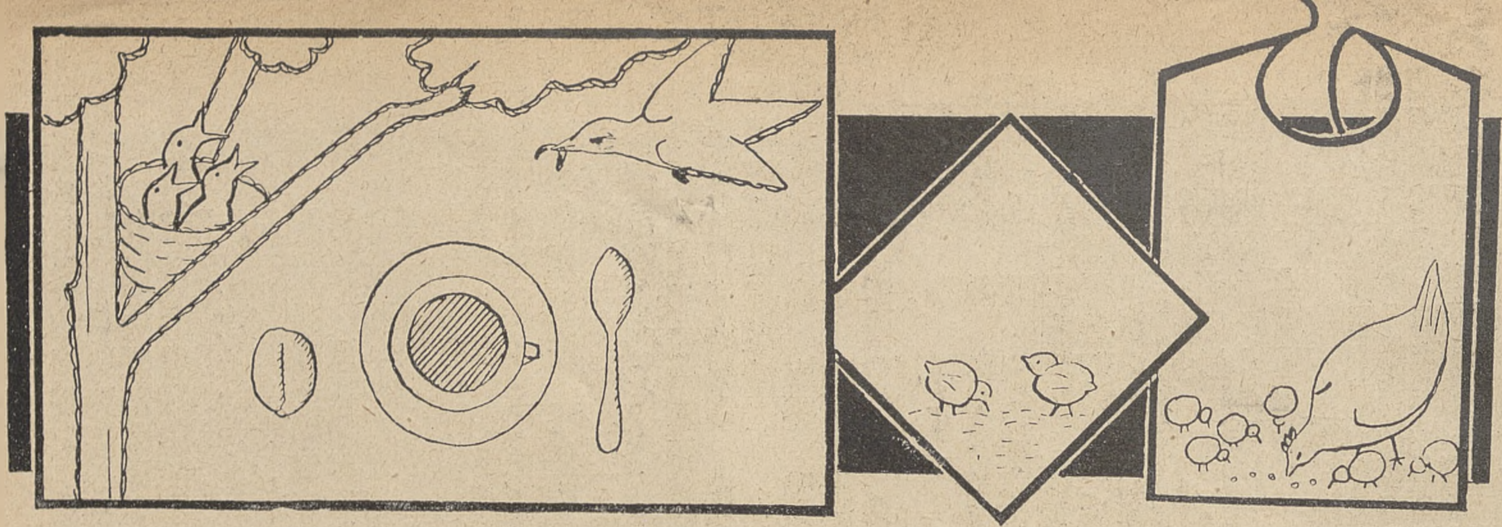
PODUSZKA aplikowana (może być aplikacja podklejana), prostokątna 45 × 30 cm, w kolorach: jasno-szary i sepja (kawowy) w trzech odcieniach.

PASEK do sukni aplikowany w dowolnych kolorach. Wzór naturalnej wielkości.

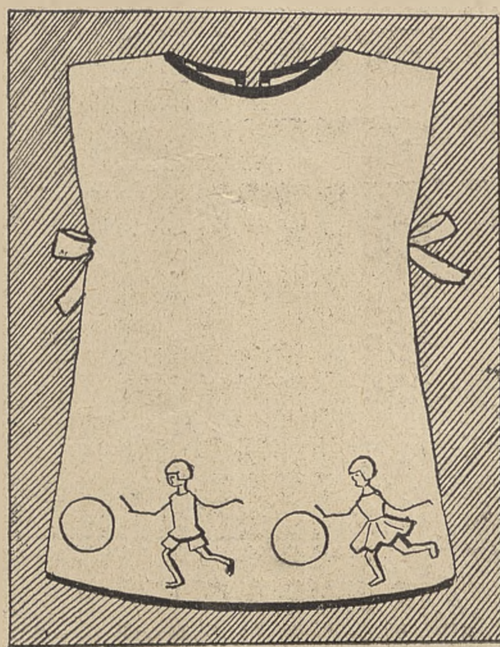
Proj. STEFAN KACPROWSKI



Rys. 344. — FIRANKA cała z siatki filet z wyszytemi motywami i bordiurą. Siatkę można kupić gotową o dowolnej wielkości oczek.
Proj. IDA HÖLZLOWA



Rys. 345



Rys. 346

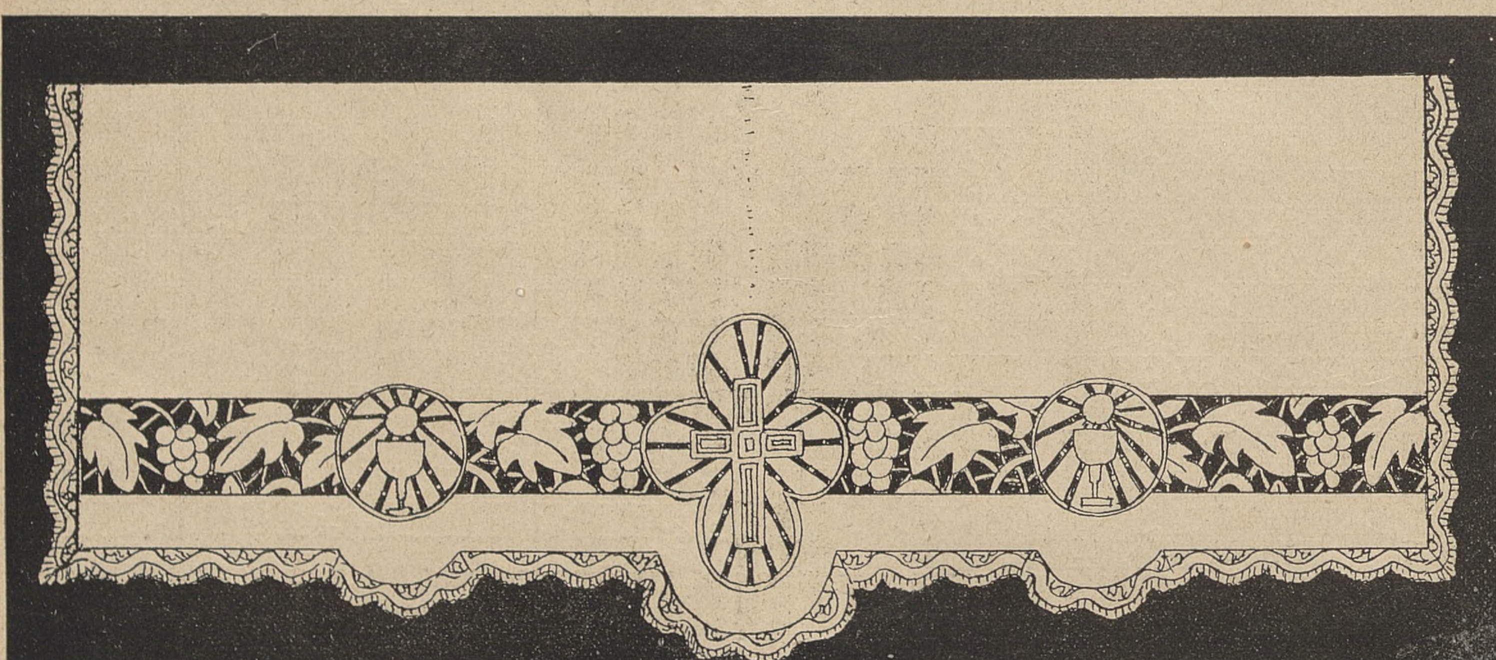
Rys. 345. — GARNITUR stołowy dla dziecka. Wzór wykonany ściegiem wodnym. Konary bronzowe, liście zielone, pisklęta żółte, gniazdo szare, ptaszek popielato-czerwony.

Rys. 346. — FARTUSZEK dla dziecka, ozdobiony łatwym haftem. Ściegi: wodny i płaski, kolory dowolne.

Rys. 347. — OBRUS na ołtarz, wykonany haftem angielskim i Richelieu.

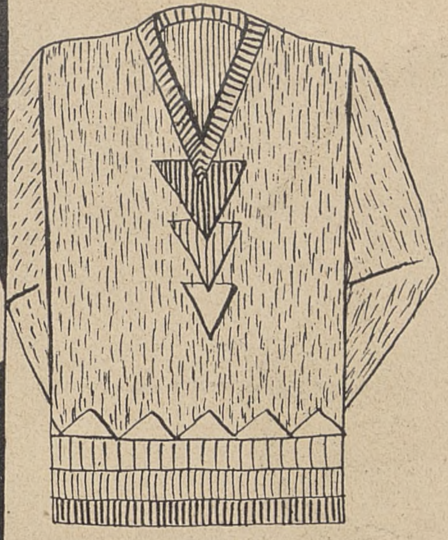
Dostarczamy wzorów naturalnej wielkości do wszystkich robót podanych w **Świecie Kobiecym.**

Posiadamy bogatą kolekcję wzorów na wszystkie techniki, o czem warto pamiętać w okresie wykonywania podarków świątecznych.



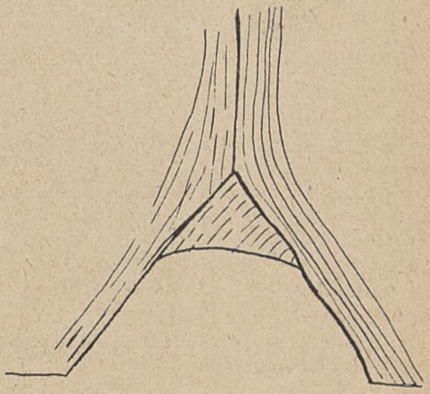
Rys. 347



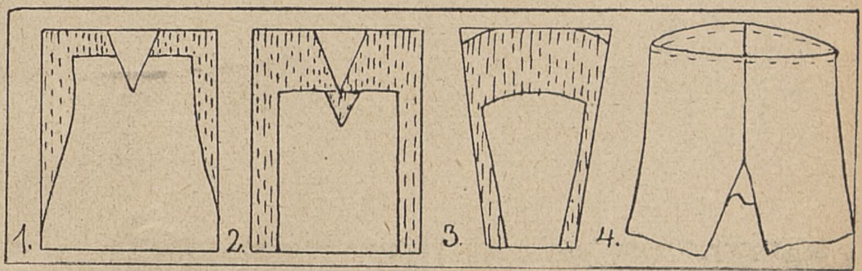












PRZERÓBKI.

Trudno rozstać się z praktycznemi i sympatycznemi garsonkami. Na dzisiejszą modę są jednakowoż za krótkie. Wolimy także sukienki jednolite, gdyż jumpery i pullowery — jakkolwiek zawsze jeszcze modne do sportu — nosimy raczej do kostjumów.

Rozpuszczamy więc spódniczkę u góry i prujemy, jeśli potrzeba, ścieg patentowy, jakim niekiedy spodniczki są wykończone w pasie. Wyrównaną w ten sposób przyszywamy do dolnego brzegu jumpera i obrzucamy brzeg z lewej strony. Najlepiej wykonać szew ręcznie, gdyż szew maszynowy nie jest elastyczny i rwie się łatwo. W razie potrzeby można jumper i spodniczkę zdłużyć, dorabiając na drutach pas w odmiennym kolorze. Dla zharmonizowania całości można ozdobić jumper motywami wyszytemi włóczką na trykocie, jak to uwidocznia próbka naturalnej wielkości.

Z jumpera albo pullowera mamusi może powstać sukienka albo ubranko dla dziecka. Rysunki u dołu wskazują, w jaki sposób skroić (1) sukienkę dla dziewczynki. Przez przyłożenie kroju poniżej szwów na ramionach zmniejsza się wycięcie szyi, które byłoby za szerokie dla dziecka. Rys. 2 uwidocznia sposób skrojenia jumperka dla chłopczyka. Rękawki trzebaby wykombinować z pozostałych kawałków, gdyż górną część rękawów jumpera użyje się na spodenki w sposób uwidoczniony na rys. 4. W kroku wstawia się kwadrat jako klin. Do sukienki dla dziewczynki wykroi się rękawki w sposób pokazany na rys. 3.

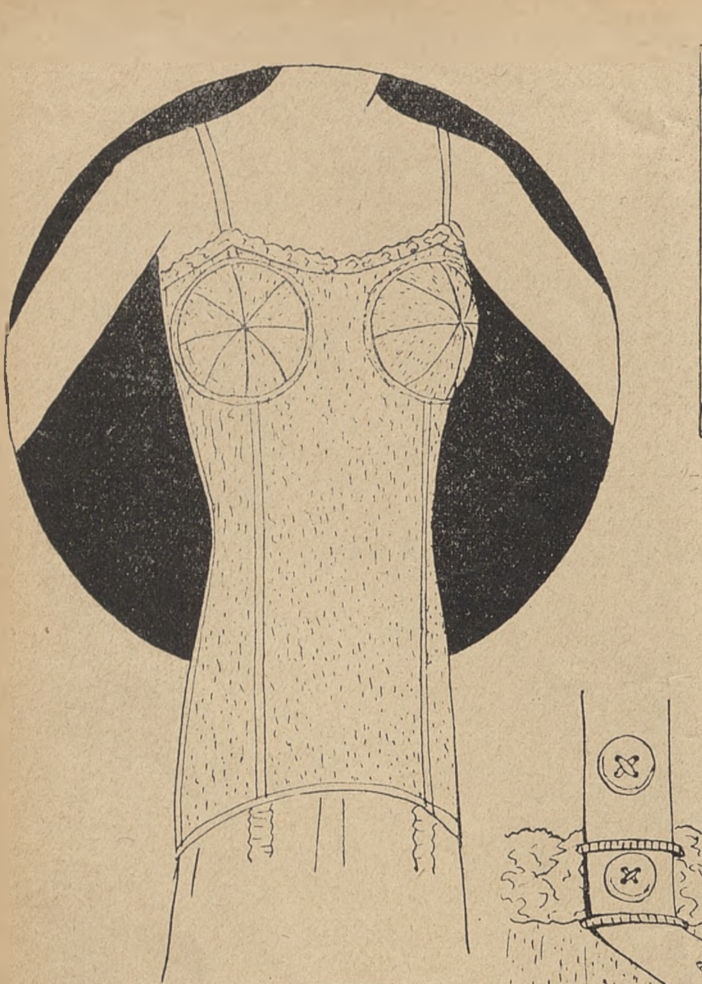
Przed krajaniem powinno się wyrysować kontury kroju kredą albo zaznaczyć fastrygą i obszyć luźno na maszynie, żeby po skrojeniu trykot nie pruł się. Po zeszyciu szwy wykończyć listewką albo rozszyć ściegiem obrąbkowym.

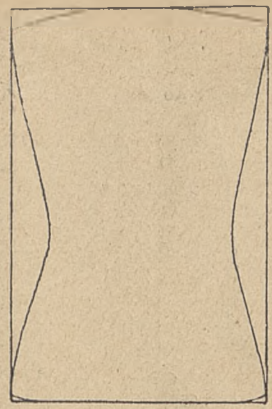
Jeśli jumper jest wykończony przyszytą listewką trykotową, jak np. na naszym modelu, należy przed wykrojeniem odpruć listewkę i następnie użyć do wykończenia nowopowstałej części garderoby.

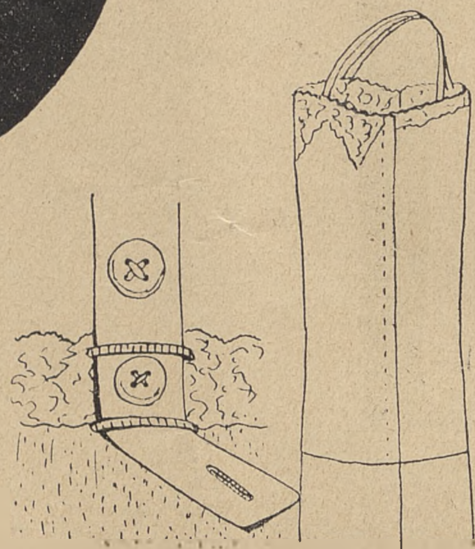
Z jedwabnego albo cienkiego wełnianego jumpera można uszyć reformy. W tym celu obraca się najlepiej dolny brzeg do góry a boczne szwy do przodu wzgl. tyłu. Szwy te pruje się do wysokości kroku, po ścięciu zbytecznej długości. W kroku wstawia się kwadrat w sposób uwidoczniony obok. U góry i dołu nogawek należy przystebnować listewkę z cienkiej podszewki albo tasiemkę dla przewleczenia gumki.

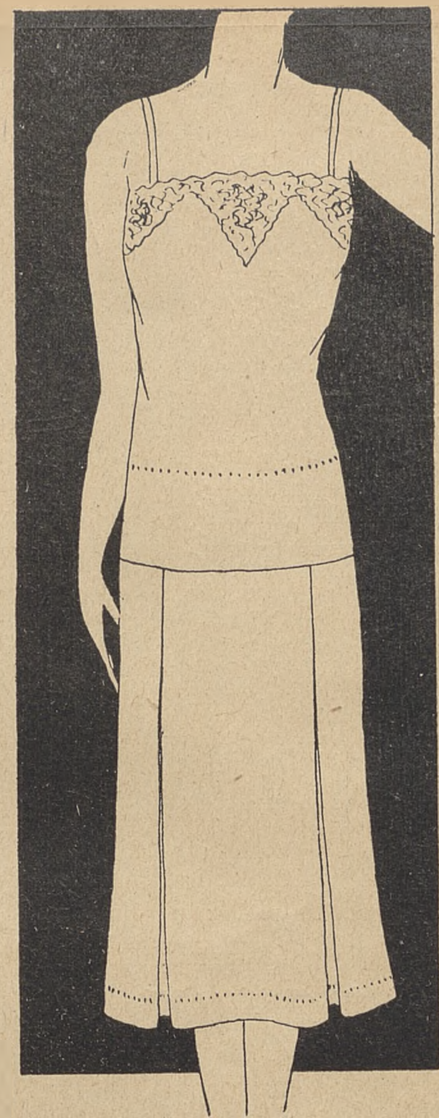
Reformy jak i spodenki powinno się skroić ztyłu nieco wyższe jak zprzodu.

Z. KULCZYCKA









STANICZEK TRYKOTOWY.

Dla smukłych figur opaska biodrowa jest zbyteczna. Można ją zastąpić staniczkiem trykotowym jednoczącym napierśnik z opaską. Krój jest bardzo nieskomplikowany. Zapięcie wykonywa się z lewego boku, kryte albo zwyczajne, na małe guziczki. Mocny materjał trykotowy bawełniany, jedwabny albo dla osób ziębnących łatwo — cieniutki wełniany, łączy się zwykłemi szwami wykończonemi nastebnowanemi listewkami. Wszytki w napierśniku wykończa się od lewej strony.

Kilka par ramiączek do zmiany urządza się do zapinania w sposób przedstawiony na rysunku.

Dostarczamy kroju wielk. II.

PRZEROBIONA KOMBINACJA.

Kombinacje musi się oczywiście dostosować do nowej mody, a więc zdłużyć i zwęzić u góry. Prosty krój staniczka łatwo zmienić w wcięty. Po takiej zmianie zachodzi jednak potrzeba zapinania. Zapięcie to można umieścić na plecach albo na boku, ukryte pod listeweczką.

Zdłużenie najlepiej uskutecznić przez wstawienie pasa materjału wokoło bioder. Szew można zamaskować mereżką maszynową.

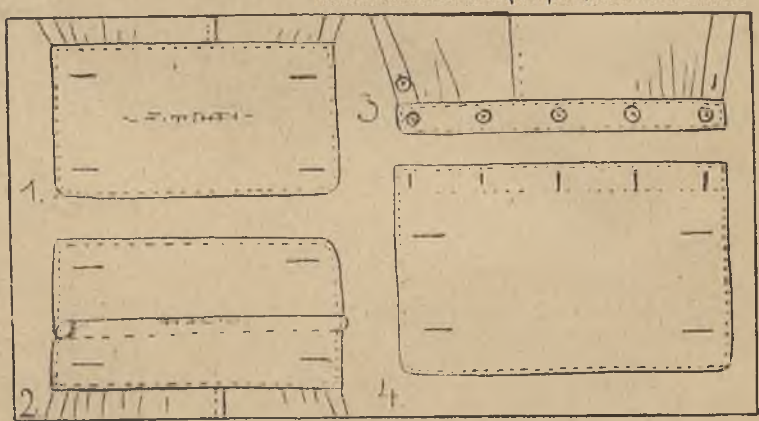
Potrzebną szerokość spódniczki zyskuje się przez kontrafałdy umieszczone zprzodu albo przez części kloszowe, które jednakowoż są mniej praktyczne.

MANKIETY U KOSZUL MĘSKICH

wycierają się szybko. Rysunki 1 i 2 uwidoczniają, w jaki sposób można naprawić zagrożone mankiety. Wystarczy zastebnować zakładkę do środka, a po wyłożeniu mankieta uszkodzenie będzie niewidoczne, gdyż szew będzie się znajdował o 1 cm powyżej zagięcia.

Bardzo praktyczne są miękkie mankiety do przypinania. Mankiet bowiem bruczy się już za 1 dzień, gdy koszulę można nieco dłużej nosić. Radzimy więc szyć koszule z mankietami do zmiany. W tym celu wykończa się rękaw wąską obszewką, która ma obwód mankietu, mankiet zaś szyje się osobno, dodając 2½ cm szerokości na dziurki. Wykonanie zapięcia uwidoczniają rysunki 3 i 4. Wyłożony mankiet zakrywa guziczki zupełnie i wygląda jak przyszyty.

Z. KULCZYCKA



Odmładzanie naskórka twarzy

Z letnich wywczasów powracamy fizycznie pokrzepieni, lecz często — niestety — z nabytemi, pod wpływem słońca i zmian atmosferycznych, wadami cery. Pod złudną bowiem czerstwością twarzy kryje się zgrubienie naskórka, a zatem — objaw przejściowego zaniku młodocianej świeżości. Przeciw tej przypadłości rozporządzamy dziś specyficznemi środkami zapobiegawczemi, tudzież usuwającemi ją. Wybitnie zapobiegawczo działa u osób z prawidłową lub suchą cerą: krem sportowy „Ultrasol", z przepisu Dra Lustra, tłusta zaś cera wymaga chronienia jej mleczkiem „Lityną". Zgrubiałą prawidłową cerę odnawia się matowym kremem „Mira", suchą i wiotczejącą zaś — ożywczym kremem „Oxa" Dra Lustra. Powlec odpowiednim kremem twarz na 10 minut przed spłókiwaniem gorącą wodą, również przed naparzeniem nad parą, a po osuszeniu przypudrować pudrem egzotycznym Dra Lustra.

1125 Dr. ZENON B.

WYNIKI ZJAZDU PAŃ DOMU

Powodzenie i wyniki, jakiemi może się pochlubić pierwszy ogólno krajowy Zjazd Pań Domu, nie stają się codziennym udziałem najlepszych nawet ludzkich poczynań.

Dziś, gdy Zjazd mamy już poza sobą, możemy odnieść się do niego z całym rzeczowym krytycyzmem. I musimy stwierdzić, że ten zbiorowy wysiłek kobiety zaimponował nietylko światu kobiecemu, ale że porwał ogół.

Przebieg Zjazdu był wzorowy, doskonale przygotowany, przemyślany i przeprowadzony praktycznie. To też obradom trzydniowym towarzyszyło niesłabnące zainteresowanie audytorjum.

Kobiety polskie w liczbie około siedmiuset stanęły do współpracy w organizacji wspólnego Związku Pań Domu, przybywszy ze wszystkich stron kraju. Wszystkie razem i każda poszczególnie, zaofiarowały, co która miała najlepszego, umiejętność, doświadczenie, dobrą wolę, dla stworzenia tej nowej placówki kobiecej, której celem będzie praca nad uzdrowieniem stanu ekonomicznego i przemysłowego całego kraju, przez wprowadzenie racjonalnej gospodarki na terenie poszczególn. domów rodzinnych.

Nie jest to rzeczą ani nieosiągalną, ani nawet zbyt oddaloną, co stwierdzimy łatwo, jeśli zapoznamy się z przebiegiem prac Zjazdu i uchwałami jakie na nim zapadły.

Obrady trwały trzy dni, od 21 do 23 października r. b. włącznie. Zjazd zainicjowało Koło Studjów Gospodarstwa Domowego poparte przez wszystkie stołeczne organizacje gospodarcze. Na całość Zjazdu złożyły się niezmiernie ciekawe referaty poparte pokazami i przezroczami, wycieczki do ośrodków zdrowia i instytucyj z gospodarstwem domowem związanych oraz wystawa nowoczesnych udogodnień technicznych w modelowni Koła. Celem Zjazdu było zainteresowanie najszerszego ogółu kobiet zagadnieniami gospodarstwa domowego oraz utworzenie jednolitej wspólnej organizacji kobiet, tym ideom służącej. I cel ten został osiągnięty.

Jako wynik Zjazdu powstało nowe zrzeszenie kobiece pod nazwą „Związku Pań Domu“, którego już sama nazwa stała się wyrazem jaknajszerzej pojętej demokratyzacji, za „panią domu“ bowiem uważana jest każda gospodyni, zarówno korzystająca z pomocy płatnej, jak i ta, która własnoręcznie czynności gospodarcze wykonywać musi.

Jako cele Związku wysunięto: 1) podniesienie poziomu życia rodzimy polskiej, 2) ulepszenie gospodarstw domowych, 3) kształcenie gospodarcze kobiet, 4) jaknajszerzej pojętą samopomoc. Do Komisji Organizacyjnej nowego Związku powołano panie: Benkowic-Sitłanerową, E. Czarnowską, Dawydowiczową, F. Garapichową, Z. Jaguczańską, M. Karczewską, E. Kiewnarską, I. Rompertową, H. Mamelokową, I. Mandukową, Z. Mycielską, K. Nitschową, A. Rollową, T. Skorzewską, I. Szumlakowską. Akces do nowo utworzonego Związku zgłosiły liczne zrzeszenia kobiece. Zasady, na jakich Związek będzie opierał na przyszłość prowadzenie swej szeroko zakrojonej akcji, ujęte są w następujących wnioskach Zjazdu Pań Domu, który uchwalił:

I. Stworzyć jednolitą i odrębną organizację pod nazwą: „Związek Pań Domu“..

a) Wyłonić Komisję organizacyjną Związku dla opracowania statutu.

b) We wszystkich ośrodkach kraju tworzyć oddziały Związku.

c) Określić składkę członkiń Związku na zł 6,— rocznie, z czego $^5/_6$ przeznaczyć na potrzeby Oddziału, a ⅙ na potrzeby Związku.

d) Grupy, Koła i Stowarzyszenia, które zgłosiły swój akces, wezwać do złożenia statutów.

e) Uważać Komisję Organizacyjną do czasu uchwalenia statutu Związku za organ centralny o charakterze organizacyjnym, informacyjnym i doradczym.

II. Gospodarstwo domowe uznać za pracę zawodową.

a) Żądać od czynników kierowniczych zrównania zawodu pani domu z innemi zawodami.

b) Dla kobiety, która prowadzi własne gospodarstwo domowe, ustalić nazwę „pani domu“.

c) Żądać uznania nazwy „pani domu“ i wykonywanego zawodu „gospodarstwo domowe“ jako terminów obowiązujących, przyjętych, przy legitymowaniu się nazewnątrz, w spisach ludności i t. p.

III. Zwrócić się do czynników kierowniczych z następującemi przedłożeniami.

a) Wprowadzenia nauki gospodarstwa domowego do szkół na równi z nauką czytania i pisania.

b) Przeprowadzenia zmiany programów niższych szkół rolniczych żeńskich przez pogłębienie wiadomości z dziedziny domoznawstwa.

c) Założenia uczelni, kształcącej instruktorki dla gospodarstw domowych.

d) Przeprowadzenia akcji w celu spopularyzowania wśród wychowanek szkół powszechnych i średnich pracy gospodarstwa domowego, jako zawodu.

IV. Polecić Związkowi Pań Domu:

a) Stałe, określone opodatkowanie się członkiń na rzecz Instytutu Gospodarstwa Domowego w Warszawie.

b) Uznanie pisma „Organizacja Gospodarstwa Domowego“ za oficjalny organ Związku.

c) Zajęcie się utworzeniem instytucji „Sióstr gospodarskich“ na wzór takich instytucyj norweskich, z uwzględnieniem warunków polskich.

d) Uzyskanie wpływu na normowanie warunków przywozu towarów zagranicznych w celu: 1) ułatwienia importu owoców, 2) utrudnienia natomiast importu wyrobów luksusowych.

e) Rozbudzanie zainteresowania do ruchu spółdzielczego.

f) Jak najszerszą propagandę do używania w gospodarstwie domowem gazu zamiast węgla.

g) Wyjednanie w zarządach poszczególnych elektrowni potanienia prądu.

V. Przekazać Instytutowi gospodarstwa domowego sprawę dostosowania nowoczesnych wynalazków z dziedziny gospodarstwa do potrzeb ludności wiejskiej, niemogącej korzystać z udogodnień gazowych ani elektrycznych.

VI. Wyjednać u prasy szerokie uwzględnienie wiadomości z dziedziny domoznawstwa.

VII. Polecić wszystkim paniom domu i oddziałom Związku

a) Kształcenie i samokształcenie gospodarcze.

b) Prenumerowanie pism fachowych, jak „Organizacja Gospodarstwa Domowego“.

VIII .Polecić zrzeszeniom i związkom kobiecym tworzenie wydziałów stypendjalnych dla specjalistek w dziedzinie domoznawstwa.

IX. Polecić reprezentowanym na Zjeździe organizacjom rozpisanie konkursu na pieśń o „Domu Polskim“.

Oto ogrom prac dokonanych przez zespół członkiń Zjazdu Pań Domu. Jest to jednym dowodem więcej, czego dokonać jest zdolny wspólny wysiłek, przy należytem zrozumieniu idei. Zjazd, którego podniosła i serdeczna atmosfera nie słabła ani na chwilę, zamknęła serdecznemi słowami przewodnicząca p. Marja Karczewska, dziękując wszystkim za nastrój jaki panował przez cały czas obrad, nastrój — niezamącony żadnym dysonansem, a tak przepełniony dobrą wolą. Na zakończenie uczestniczki Zjazdu udały się na grób Nieznanego Żołnierza, gdzie złożono wieńce. Wreszcie o godzinie 8 wieczorem w sali klubowej Stowarzyszenia Techników zebrano się po raz ostatni na wspólnym bankiecie, gdzie wśród serdecznych i podniosłych przemówień nie zbrakło i niefrasobliwego humoru. Oto powstał wniosek aby i „panowie domu“ zwołali swój zjazd, na którym podjęliby prace nad doskonaleniem się w swoim zawodzie panów domu, jak to na pierwszym Zjeździe Pań Domu z tak nadzwyczajnym rezultatem uskuteczniły kobiety.

MARJA ANKIEWICZOWA

DOBRA GOSPODYNI

popiera wyroby krajowe

Podajemy niniejszem kilka oryginalnych przepisów na dania mięsne:

KURCZĘTA W PAPRYCE. Sprawić 2—3 kurcząt i podzielić na cząstki. Posolić i odstawić na kwadrans. Dużą posiekaną cebulę zrumienić lekko w 2—3 łyżkach masła, dodać kilka zgotowanych grzybków, ½ łyżeczki papryki i cząstki kurcząt. Przykryć i dusić powoli. Nakoniec rozkłócić ½ łyżki mąki w pół kwaterki śmietany, dolać pół kwaterki rosołu, zalać tem mięso i dusić jeszcze przez pięć minut. Podać z ryżem albo makaronem.

KACZKA NADZIANA GRZYBKAMI I SZYNKĄ. Sprawioną kaczkę posolić i nadziać następującą nadzianką: Zemleć wątróbkę kaczki z ¼ kg wątroby cielęcej, dodać 6 dkg skrobanej słoniny, 12 dkg zmielonej surowej szynki, 20 dkg posiekanych ugotowanych grzybków albo pieczarek z konserwy, kilka posiekanych szalotek, soli do smaku, wymieszać wszystko dokładnie i nadziać kaczkę. Po zaszyciu otworu, włożyć kaczkę do brytwanny szczelnie zamkniętej i dusić na maśle z dodatkiem włoszczyzny, ½ l rosołu z wygotowanych podróbek, 2 łyżek grzybków wzgl. pieczarek i odpowiednią ilością soli. Gdy miękka, podać kaczkę z duszonemi kartoflami.

ZAPIEKANE KURCZĘTA. Dusić kurczęta na maśle, gdy miękkie, podzielić na cząstki, przyczem wyjmuje się większe kości. Zgotować drobny makaran włoski, pokrajać zgrabnie i wymieszać ze stopionem masłem i z 1—2 żółtkami. Nałożyć ten makaran na mięso ułożone w wysmarowanej ogniotrwałej misce albo formie porcelanowej, na to nalać gęsty sos grzybkowy, na wierzch zaś nałożyć gęstego beszamelu. Posypać tartym serem szwajcarskim albo parmezanem, tartą bułeczką, pokropić masłem i zapiec na rumiano. Podać w formie. Beszamel: zrobić białą zaprażkę i rozprowadzić śmietaną.

KOSTKI Z MIĘSA Z SEREM. Młodą wołowinę pokrajać w kostkę, posolić i popieprzyć. Utłuczoną bułeczkę zmieszać z tartym serem szwajcarskim albo parmezanem, biorąc na 4 łyżki bułeczki 2 łyżki sera, obracać w tem kostki mięsa, następnie włożyć je do brytwanny z rozgrzanem masłem. Obrumienić pięknie, dodać potem odrobinę rosołu i powidełka z pomidorów albo kilka rozduszonych pomidorów z konserwy, dusić jeszcze przez 10 minut i podać z duszonemi kartoflami oraz sałatą z kapusty.

MAKARON WYPIECZONY Z WĄTRÓBKĄ. Pokrajać makaron na ½ cm szeroki, ugotować i przelać zimną wodą. Tymczasem usmażyć wątróbkę, ¼ kg na 1½ litrową formę, zemleć, dodać 1 żółtko, pianę z 1 białka, 2 łyżki śmietany, soli do smaku i wymieszać z tą masą makaron. Po ułożeniu do wysmarowanej miski polać masłem i upiec. Przybrać ugotowanemi burakami ćwikłowemi, wykrojonemi w ozdobne gwiazdki.

BUDYŃ Z PŁATKÓW OWSIANYCH I POMIDORÓW. Można na ten cel użyć surowych pokrajanych pomidorów lub też pomidorów konserwowanych jako powidełko alboteż w całości. Zagotować 40 dkg płatków owsianych w rosole, dodać 2 cebule posiekane i duszone na maśle i odstawić, aż płatki dobrze napęcznieją. Gdy wystygną zupełnie, nałożyć warstwami płatki i pomidory do formy wysmarowanej masłem, tak żeby na wierzchu były płatki, posypać na koniec tartą bułeczką i tartym serem, pokropić masłem i piec przez 40 minut.

PURÉ Z SELERA. Obrać seler, pokrajać na ćwiartki i ugotować w słonej wodzie. Gdy miękki, przetrzeć przez sito, następnie dodać kilka łyżek jasnej zaprażki zrobionej na maśle, łyżkę bułeczki i śmietany albo mleka. Dusić jeszcze przez 5 minut, podać z pulpetami albo grzankami, dla chorych albo dla miłośników kuchni jarskiej.

KOMPOT Z MARCHEWKI. Pokrajać oskrobane marchewki i skórkę z pomarańczy i cytryny. Zagotować lekki syrop z cukru i wody, włożyć marchewkę i skórki i gotować powoli do miękkości.

ZACIERKA TARHOAYA. Zamiesić twarde ciasto z jaj i mąki bez wody. Utrzeć na tarku i lekko osuszyć. Stopić smalec, dodać 2 utarte cebule, łyżkę posiekanej zielonej pietruszki, soli, papryki, zacierkę i odrobinę wody i dusić powoli do miękkości. Podać jako danie jarskie albo do pieczonego mięsa.

ARBUZ JAKO JARZYNA. Obrać, pokrajać i dusić z śmietaną, posiekaną cebulą, duszoną na maśle, solą i papryką. Wędzonkę albo surową szynkę pokrajać w kostkę, usmażyć z drobno pokrajaną słoniną, domieszać do arbuza i dusić razem przez 30 minut. Na Węgrzech i w Rumunji dodaje się kilka pokrajanych strączków papryki.

Niebezpieczeństwa pory jesiennej.

Tak piękne wydają się złote dnie jesienne, a tak zdradliwe jest ich przejście w dnie smutne, deszczowe i chłodne. Zmienna pogoda jesienna nietylko działa przygnębiająco na człowieka, ale i przyczynia się do przykrych i częstych zaziębień. Jeden dostaje nagle silnego kataru, inny skarży się na złe samopoczucie, a innym łamanie w kończynach przypomina o ich reumatyzmie. — Aby móc wszystkim tym niebezpieczeństwom, grożącym nam zwłaszcza w obecnej porze jesiennej, skutecznie zapobiec, należy mieć zawsze w domu lub w kieszeni prawdziwe tabletki Aspirin. Oryginalne tabletki Aspirin (ze znakiem ochronnym w postaci napisu Bayer na każdem opakowaniu i na każdej tabletce) są do nabycia we wszystkich aptekach.

TOWAROZNAWSTWO

GRZYBY. (c. d.). Najwięcej znanym i poszukiwanym kołnierzakiem jest

p i e c z a r k a, po francusku champignon. Pieczarki mogą być szkodliwe w stanie starym albo nieświeżym. Z młodych grzybów powinno się ściągać skórkę. Przy zbieraniu albo kupnie należy być bardzo ostrożnym i dokładnie zbadać każdą pieczarkę zosobna. W tym celu trzeba zapamiętać cechy 5 gatunków jadalnych pieczarek oraz znamiona najbardziej do nich zbliżonej a silnie trującej bedłki.

P i e c z a r k a l e ś n a rośnie, jak nazwa wskazuje, w lasach i gajach. Kapelusz ma zielony lub kanarkowy, kołnierz łuskowy, zaś miąższ miękki i śliski. Jest to najmniej smaczna ze wszystkich pieczarek.

P i e c z a r k a p o l n a albo szara o kapeluszu jasnoperłowym na brzegu, ku środkowi ciemniejszym, ma blaszki szare ciemniejące z czasem tak jak wierzch kapelusza, który przechodzi w kolor czekoladowy. Trzon jest dość wysoki, najczęściej wewnątrz pusty. Miąższ czerwienieje w pewien czas po przełamaniu. Rośnie na polach i miedzach.

P i e c z a r k a o g r o d o w a, najsmaczniejsza ze wszystkich odmian, rośnie w ogrodzie dziko, ale można ją także wysiewać. Kapelusz ma dość wypukły biały i gładki, trzon dość wysoki i mięsisty z kołnierzem nierozstrzępionym. Blaszki są z początku siwe, później przybierają barwę różową, aż przejdą w czekoladową.

P i e c z a r k a ł ą k o w a albo p a s t w i s k o w a jest mała i niska. Kapelusz ma barwę chmur i jest pokryty jasno-czekoladową łuską. Blaszki za młodu jasne, czernieją z czasem. Zapach pieczarki pastwiskowej jest bardzo silny i aromatyczny.

P i e c z a r k ę h o d o w a n ą uprawia się w inspektach, piwnicach albo umyślnie założonych pieczarkarniach, które dostarczają ich do dużych miast. Podobna jest do pastwiskowej, tej samej barwy i również porośnięta łuską. Ma nieco dłuższe trzonki i stosunkowo ciensze, często skrzywione. Bardzo podobna do pieczarki jest

b e d ł k a t r u j ą c a zwana także aromatnikowa. Wyrasta często w pobliżu pieczarek a różni się od nich tylko tem, że blaszki ma białe, zarodniki białe, kapelusz biały, zielony albo żółtawy o skórze nieściągalnej. Trzon podatny i zaopatrzony u dołu w resztki pochwy, nie posiada więc kołnierza.

Wszystkie pieczarki odznaczają się aromatycznym i miłym zapachem korzennym, który czyni je cennemi.

Bardzo licznie rosną smaczne choć mało wydatne

p o d p i e ń k i z rodziny bedłek. Znamy kilka rodzajów podpienek jadalnych. Najpospolitsza jest podpieńka koloru jasno-

orzechowego, której kapelusz, z początku kulisty, później bardziej płaski, jest w środku nakrapiany drobną, ciemną łuską. Blaszki ma jasne, później ciemniejsze brunatne, poniżej kapelusza kołnierz. Trzon cienki, jasno-brunatny, rzadko prosty, zazwyczaj wygięty, gdyż wyrasta w dużej liczbie, najczęściej na zrębach wokoło pni. Podpieńką zwą także b e d ł k ę w c z e s n ą, mniejszą, jasno-żółtą o kasztanowatych blaszkach i gładkim kapeluszu. Inna odmiana, b e d ł k a z m i e n n a, ma gładki kapelusz, łuski zaś na trzonie, blaszki i kapelusz jasno-orzechowe. Inne bedłki podobne do podpienek są t r u j ą c e. Można je poznać po zielonkawych blaszkach. Kapelusze są żółte albo zielonawo-żółte, gładkie, trzonki często pokryte licznemi i długiemi łuskami.

Niektóre bedłki wydzielają sok mleczny i nazywają się b e d ł k i m l e c z a j e. Naogół nie są smaczne, prócz r y d z a, barwy ceglasto-czerwonej, albo pomarańczowej, o odcieniu zielonawym, ciemniejszym ku środkowi. Istnieje także odmiana bardzo jasna, prawie żółtawo-różowa. Trzon często pusty, zewnątrz szarawy albo jasno-ceglasty, jest dość gruby. Kapelusz w środku nieco wklęsły, brzegi rozwinięte pod spód. W przełamaniu sączy rydz sok lekko mleczny, barwy czerwonawej, przełom zaś zielenieje w miarę, jak sok przestaje płynąć. Rośnie najchętniej w młodych zagajnikach i na kraju lasów iglastych.

O l s z ó w k a, czyli krówka, wydziela również mlecz, lecz nie czerwoną, tylko białą. Wklęsły kapelusz jest żółtawo-brunatny, ku środkowi ciemniejszy, blaszki brunatne, trzon krótki i gruby.

M l e c z a j e t r u j ą c e są bardzo podobne do rydzów jadalnych; mają podobne kapelusze nieco wklęsłe, o podwiniętych brzegach i blaszkach przyrośniętych do trzonka. Różnią się jednak tem, że wydzielają sok czysto biały albo żółty, w przełomie zaś nie zielenieją.

Do pieprzników należy pieprznik l i s i c a czyli k u r k a, barwy żółtej. Kapelusz przerasta w trzon, z którym tworzy całość, podobną do lejka. Młodziutkie kurki mają kapelusze wypukłe. Miąższ jest bardzo jędrny; cały grzyb jednostajnie zabarwiony. Kurki nie bywają robaczywe. Bardzo podobny jest p i e p r z n i k p o m a r a ń c z o w y, który jest trujący.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pamiętajmy o gwiazdce dla naszych Braci z Legji Cudzoziemskiej!

P. ANIELA WINNICKA. — Koło Miłośników Ogrodnictwa rozpocznie w drugiej połowie listopada 3-miesięczny Kurs Ogrodnictwa dla miłośników. Wykłady odbywać się będą w godzinach popołudniowych. Kurs obejmie następujące wykłady: gleba, uprawa, nawożenie, nasiennictwo, warzywnictwo, hodowla pieczarek, sadownictwo i owocarstwo, przetwórstwo, kwiaciarstwo gruntowe, szkodniki i choroby roślin oraz pszczelnictwo. — Informacje i zapisy: Biuro K. M. O. Al. Jerozolimskie 45 m. 4, tel. 632-35 i Kierowniczka Kursu p. Wysocka, tel. 840-18.

JULJA DRZ. — Nie wiemy jakich środków Pani używała, gdyż ich Pani nie wymienia i dlatego nie możemy niczego radzić. Gęsia skórka jest istotnie trudna do usunięcia. W artykułach kosmetycznych w naszem piśmie była ta kwestja poruszana, a także i recepty podawane. Zechce Pani przejrzeć numery „Świata Kobiecego". Najlepszą rzeczą byłaby konsultacja u specjalisty; wiemy, że ostatnio wynaleziono nowy środek do zwalczania tej wady.

OSZCZĘDNA. — Sztuczny jedwab, zwany także półjedwabiem, nie jest tak pogardzany, jak Pani sądzi. Przeciwnie, ulepszony w ostatnich czasach, doprowadzony do niezwykłej miękkości, pięknych kolorów, deseni i zyskuje coraz większy popyt. Nawet francuskie dzienniki mód wypisują na jego temat pochwały i zachęcają panie do kupna. Nie wszystko co drogie musi być dobre i ładne — nie wszystko co tanie musi być złe i brzydkie. Trzeba tylko pozbyć się uprzedzeń w tym kierunku. Oprócz na suknie, nadaje się sztuczny jedwab na strojniejszą bieliznę pod wieczorowe toalety np., a także na powiewne firanki.

LWOWIANKA. — Najwytworniejszą galanterję i wyroby skórzane, parasole i t. p., dostanie Pani w znanej ze solidności firmie: Władysław Ciechulski, ul. Legjonów 5. Torebki od najskromniejszych do luksusowych w niewidzianym dotąd wyborze i bezprzykładnej taniości. Warto obejrzeć przed zbliżającym się Mikołajem i Gwiazdką, zwłaszcza że uprzejmi Właściciele chętnie na to pozwalają. Oszczędzi Pani co najmniej połowę wydatków, zaopatrując się w tej firmie.

PRZEGLĄD CZASOPISM

Wyszedł z druku październikowy zeszyt miesięcznika „Organizacja Gospodarstwa domowego" o treści następującej: M. Karczewska: „Pierwszy zjazd pań domu"; J. Nagabczyńska: „W minimum przestrzeni — maximum wygody"; M. Romanowa: „Dobra forma na codzień"; L. Szumlakowska: „Oszczędność w gotowaniu"; H. Mamelokowa: „Kontrola trwałości przedmiotów w gospodarstwie domowem"; T. Dziekoński: „Troska o jutro".

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska**

Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administr.: Lwów, Chorążczyzna 27; Warszawa, Wilcza 3

Telefon administracji: 4-32 Drukarnia Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Tel. 85-16 Telefon redakcji: 48-34

LUDWIK STARK

WŁAŚCICIEL FIRMY GABRYEL STARK, LWÓW

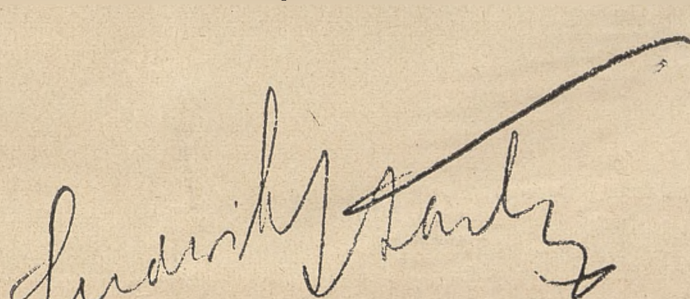
O WYROBACH „TRETORN”



Marzeniem każdej eleganckiej damy są śniegowce szwedzkie

„TRETORN”

Polecając wyroby „TRETORN” zyskuję wdzięczną klientelę.



„Un Air Embaumé"



RIGAUD PARFUMEUR

PARIS 16. Rue de la Paix

Poleca znane w całym kulturalnym świecie perfumy

UN AIR EMBAUMÉ - PAS PLUS CHIC
MARY GARDEN - CAMIA - LE LILAS

Żądać wszędzie.

1032

KSIĘGARNIA POLSKA
B. POŁONIECKIEGO
LWÓW, UL. AKADEMICKA L. 2 A

poleca ostatnie nowości:

HOCHE A. Niebezpieczny wiek mężczyzny. Lata przejściowe. . . . 4·— zł
GERLING R. Życie miłosne człowieka z uwzględnieniem wszystkich tajemnych chorób i ich zapobiegania. — Tłumaczył Dr A. Klęsk . . . . 7·— zł



WODA KOLOŃSKA
MAJOLA

O TRWAŁYM, PIĘKNYM, OŻYWCZYM ZAPACHU,
WYSOKIE ZALETY WODY KOLOŃSKIEJ
MAJOLA
CZYNIĄ JĄ NIEZBĘDNĄ W KAŻDYM DOMU
FLAKONY W 5 WIELKOŚCIACH.

1144



„MONIUSZKO" LWÓW, ZIMOROWICZA 10
TEL. 35-54, 43-71

POLECA

1042

FORTEPIANY ▪ PIANINA ▪ HARMONJE

nowe i używane w różnych cenach, na dogodne spłaty.

Wyłączne zastępstwo światowej sławy fabryki
SCHWEIGHOFERA Nowe znakomite **PIANINA**
znanej wiedeńskiej fabryki **Zł 2.800.** Długoletnia gwarancja fabryczna

DEKORACJE WNĘTRZ

TAPETY — FIRANKI — KLUBY
SALONY — MATERJE MEBLOWE

T. KYSIAK i Synowie Lwów
Sklep pl. Smolki l. 4 — Tel. 40-09
Zakłady Kościuszki 20 — Tel. 19-85

1030

CZYTAJCIE I PRENUMERUJCIE „ŚWIAT KOBIECY"

WYROBY KOSMETYCZNE

SŁYNNEJ FIRMY

ELIZABETH ARDEN

1098

POLECA WYŁĄCZNY SKŁAD

A LA VILLE DE PARIS

GABRYEL STARK

LWÓW, PL. MARJACKI 11

FIRMA

A. PREVENDAR
LWÓW, CZARNECKIEGO Nr 2

Specjalny oddział do farbowania włosów we wszystkich kolorach pod gwarancją.

Największy skład zawsze najświeższych farb jak: Orientol, Oreál, Aureol, Immédia i t. p., oraz farby do farbowania brwi i rzęs na stałe.

Wszystkich informacyj i porad udziela się bezpłatnie. — Wysyłki uskutecznia się odwrotną pocztą

1083

1029

Herbata Riedla

Lwów, ul. Rutowskiego l. 3

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska**
Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administr.: Lwów, Chorążczyzna 27; Warszawa, Wilcza 3
Telefon administracji: 4-32 Drukarnia Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Tel. 85-16 Telefon redakcji: 48-34